



SYRENA



ROK XXII
PARYŻ—LONDYN

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

Nr 38/1055 (786)

CZWARTEK, 20 września 1962

TYDZIEŃ POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

SEZON JESIENNY ZAPOWIADA SIĘ BURZLIWIE

PO LETNICH wakacjach, które ani w Europie, ani w żadnej innej części świata nie pozwoliły rządów na beztrudne wywczasenie, jesienny sezon polityki światowej zapowiada się jeszcze burzliwiej.

Kryzys berliński, który dyplomacja sowiecka potrafiła dość niebezpiecznie związać ze sprawą Kuby na zachodniej półkuli i co skłoniło prez. Kennedy do zażądania od Kongresu mobilizacji 150 tysięcy rezerwistów; nieustanne konflikty wewnętrzne w państwach Ameryki Łacińskiej, w Peru, Brazylii czy Argentynie, o tyle poważniejsze, że pośrednio związane z rewolucją kubańską; zaognienie na Dalekim Wschodzie, wyrażone w dwu incydentach amerykańskiego samolotu wywiadowczego U-2, który zresztą pojawił się również ostatnio w bazach amerykańskich na terenie W. Brytanii, ku zaniepokojeniu tutejszych kół państwowych; wreszcie na „czarnym lądzie”, wciąż krwawiąca pod rządami ONZ, sytuacja w Kongo i dopiero powoli zmierzająca do stabilizacji swojej świeżej niepodległości Algeria, to wszystko horyzont, który wróżyć może wiele rzeczy prócz pogody.

Drażliwość bieżącego okresu polityki światowej polega zresztą nie tylko na znacznej ilości konfliktów, międzynarodowych i wewnętrznych, rozsianych po wszystkich niemal kontynentach i zakątkach kuli ziemskiej. Powiększa ją dla Zachodu ten fakt, że jego własna organizacja znajduje się w stadium przegrupowania wewnętrznego i kryzysu centralnego kierownictwa, co musi osłabiać przejściowo odporność świata wolnego na imperialistyczne zakusy Moskwy. Przegrupowanie, to przede wszystkim skutki wzrostu wpływu państw Wspólnego Rynku i przewlekły proces łączenia się z nim W. Brytanii. Ewolucja ta, choć wynikająca ze wzmocnienia zach. Europy oddziałuje tymczasem ujemnie na spójność oraz sprawność całego Przymierza Atlantycznego, którego ośrodek kierowniczy, dawniej niespornie w Waszyngtonie, dzisiaj znalazł się jakby bez stałej kwatery głównej. Autorytet międzynarodowy Stanów Zjednoczonych jest ponadto w ciągu bieżących miesięcy częściowo zachwiany, jak zwykle w okresie kampanii wyborczej, tego roku do izb kongresowych.

BERLIN I KUBA, WĘGRY I SUEZ

Kampania ta jest szczególnie gwałtowna i związana ściśle z położeniem międzynarodowym, które wyraża się dla amerykańskiej opinii przede wszystkim w dwu słowach: Kuba i Berlin.

Kuba jest sprawą, bezpośrednio prowokującą uczucia szerokich mas amerykańskich i atakującą podstawowe zasady tradycyjnej polityki Stanów Zjednoczonych. Jakkolwiek bowiem próbuje się teraz podważać

i osłabiać znaczenie doktryny Monroe'ego, żyje ona w pojęciach społeczeństwa Stanów Zj. i oznacza, że na zachodniej półkuli nie wolno się instalować mocarstwu nieamerykańskiemu, które mogło by zagrozić wolności i sposobowi życia narodów Ameryki. Sowiety zaczęły wprawdzie wspomagać gospodarstwo i wojskowo reżim dr. Fidel Castra jeszcze w 1960, ale przed dwoma miesiącami pomoc ta przybrała nagle znacznie większe rozmiary i została wreszcie ostatnio oficjalnie, demonstracyjnie przez Moskwę przyznana, po czym przyszła nadto pogroźka Chruszczowa rakietowej obrony Kuby przed ewentualną agresją ze strony „imperialistów”. Instalacja więc bazy — już oczywiście nie komunizmu rodzimego, ale jawnie — sowieckiej na zachodniej półkuli, pod bokiem

(Dokończenie na str. 8)

STANISŁAW PACZYŃSKI

PRZED NOWYM REFERENDUM

A WIĘC znowu jesteśmy we Francji w przededniu nowego plebiscytu, czyli — jak tu się mówi — nowego referendum. Zbrodniczy zamach niepojętych szaleńców w Petit-Clamart przyspieszył decyzję gen. de Gaulle'a, który widocznie przyszedł do przekonania, że najwyższy jest czas poważnie pomyśleć o tym, co się będzie działo we Francji po zejściu ze sceny politycznej obecnego Prezydenta Republiki.

Poniekąd regułą już jest, że każde posunięcie gen. de Gaulle'a zawsze stanowi nieprzyjemne zaskoczenie dla tak zw. znawców francuskiego życia politycznego. Tak się też stało i dzisiaj. Wbrew powszechnemu przewidywaniu zwłaszcza po ostatnim zamachu, gen de Gaulle wcale nie myślał o swym zastępcy, lecz o swym następcy. A główną jego troską jest zapewnienie temu ostatniemu możliwie największego autorytetu. I stąd właśnie wypływa zamiar zmiany konstytucji w tym sensie, że przyszły prezydent Republiki byłby wybierany w głosowaniu powszechnym, nie zaś — jak to jest dzisiaj — przez specjalne kolegium złożone z mniej więcej 80.000 notablów.

Konstrukcja jest na pozór prosta. Suwerenny naród wybiera swego prezydenta w głosowaniu powszechnym i bezpośrednim, z wyeliminowaniem wszelkich „pośredników”. Prezydent sprawuje władzę przy pomocy „techników” zwanych „ministrami”, a w razie potrzeby odwołuje się do zdania suwerennego narodu, nie zaś do jego parlamentarnych przedstawicieli. W ten sposób mielibyśmy coś w rodzaju idealnej syn-tezy monarchii typu Ludwika XIV

W TYM NUMERZE DODATEK:

*Jeppkim
piórem*

fraszki

ŚLADEM CHRUSZCZOWA

Chruszczow rzekł: „Zachód — to śmierdząca koza!”
To bogactwo słownictwa sławy mu przyczynia,
Ale kontynuując wiejskie porównania,
Jak tu nazwać Sowiety? Osioł? Baran? Świnia?

FENOMEN PSYCHOLOGICZNY

Tyłu jest ludzi na świecie
(Ogromnie mnie to dziwi!),
Co nie polecą na księżyc,
A mimo to są szczęśliwi.

HIERARCHIA TRUDNOŚCI

Z doświadczeń sowieckiego przemysłu wynika,
Że trudniej zrobić dobrą parę butów,
Niż porządnego sputnika.

Rawicz

NAD BRZEGAMI SEKWANY

i nowoczesnej demokracji masowej. Coś, czego jeszcze nie było. Gdyż, jak powiadają ludzie bliscy Prezydentowi Republiki, „gen. de Gaulle jest nie tylko człowiekiem przed-wczorajszym, lecz także człowiekiem pojutra”.

Troska o autorytet przyszłego prezydenta Republiki, która dziwnie się zbiega z taką samą troską o jeszcze gruntowniejsze obniżenie znaczenia parlamentu — decyduje o wyborze procedury w zamierzonej zmianie konstytucji. Już dziś wiadomo, że Prezydent Republiki nie ma zamiaru zastosowania art. 89 konstytucji, według którego wszelkie zmiany konstytucyjne wymagają zgody parlamentu. Gen. de Gaulle posłuży się art. 11, który uprawnia go do odwołania się do referendum, gdy chodzi o wprowadzenie w życie nowej „organizacji władz publicznych”.

Szczery demokracja, lecz demokracja antyparlamentarna, gen. de Gaulle celowo wybiera tę właśnie drogę. Nie ma on ani szacunku ani zaufania do stronnictw politycznych i ich przywódców, w swych stosunkach z suwerennym narodem nie chce mieć żadnych „pośredników”. A na zatroskane pytania odnośnie „próżni” politycznej po nim, odpowiada z przekąsem: „Nie będzie próżni, przeciwnie — należy się obawiać, że naczynię może być zbyt wypełnione”.

Jest to oczywiście żart, ale wierne oddający obecny stan umysłów. We Francji panuje absolutne przekonanie, że „gaullizm” nie przeżyje de Gaulle'a, że po nim nastąpi nawrót do ustroju prawdziwie parlamentarnego. Osobiście nie jestem tego taki pewny. Nie podzielam też obaw

(Dokończenie a str. 8)

OKAŻMY SERCE OFIAROM TRZĘSIENIA ZIEMI W PERSJI

Niedawne trzęsienie ziemi w Persji pochłonęło około 15 tysięcy ofiar ludzkich. Poza tragicznymi stratami wśród ludności powstały ogromne zniszczenia materialne, których ani dotknięta nie-szczęściem ludność ani władze perskie nie będą w stanie przez długi jeszcze czas naprawić.

My Polacy, mamy wobec Persji wielki dług wdzięczności, bo kraj ten okazał w czasie ostatniej wojny naszym żołnierzom z 2 Korpusu i ludności cywilnej, którzy zdołali opuścić „nieudzielną” sowiecką — wielką serdeczność, niezapomnianą gościnność, naj-życzliwsze współzucie.

W tych ciężkich dla Persji dniach okażmy jej wdzięczność naszą i serce na dowód iż nie zapominamy naszych przyjaciół. Zjednoczenie Polskie w W.

Brytanii apeluje serdecznie do wszystkich Polaków i organizacji o złożenie skromnej ofiary na rzecz ofiar trzęsienia ziemi w Persji.

Ofiary należy składać do Orła Białego albo do Zjednoczenia Polskiego (20, Queens Gate Terrace, London S.W.7.), które całą kwotę przekaże jak dar polskiej emigracji ambasadzie perskiej. Ofiary należy składać do dnia 30 września br.

Za Zarząd:

Paweł Hęciak
Prezes

Stefan Kolańczyk
Sekretarz Generalny

P.S. Zarząd Zjednoczenia Polskiego postanowił złożyć na ten cel £5.0.0.

Wies jest często, zbyt często, egzotyką dla intelektualistów nawet w krajach rolniczych. Trudno się więc dziwić, że różnorodności stosunków wiejskich nie rozumiał Marks, ani nawet Lenin. Generalizacje marksizmu nie ułatwiają regulowania tych stosunków w praktyce, a naginanie życia do doktryny prowadzi do takich tragedii jak kolektywizacja wsi sowieckiej w latach trzydziestych lub wsi chińskiej od r. 1958. Toteż polityka rolno-komunistów nie wykazuje konsekwencji ani zbieżności, jaka cechuje np. ich politykę podziału dochodu społecznego, inwestycji, kierunków przemysłowania, a nawet (z wyjątkami) wskaźniki planów rozwoju i ich wykonania. Owszem, zaraz po wojnie dokonano na całym ujarzmionym o-

bszarze analogicznych reform rolnych, ale parcelacji majątków w ręce chłopów nie można żadną miarą uznać za realizację marksizmu. A już do następnego etapu, scalenia podzielonych gruntów i pozabawienia chłopów świezo mu obiecanej samodzielności, przystąpiono w różnym czasie, w Bułgarii bardzo wcześnie, w Niemczech bardzo późno, w różnym tempie i różnymi metodami.

Od lat sześciu świat przygląda się nie bez zdumienia odrębnej sytuacji na wsi polskiej.

Jak pamiętamy, w „minionym okresie” rządów Bieruta wieś poddana wszechstronnemu naciskom, by zmusić chłopów do rezygnacji. Osiągnięto kolektywizację około 1/10 ziemi chłopskiej, kosztem zniechęcenia wsi i spadku produkcji. Na VIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR Gomułka obwieścił zwrot w polityce; dopuszczono rozwiązanie 4/5 istniejących kolektywów, zmniejszono ciężary, zamiast sztykan udzieleno trochę pomocy. Gospodarka chłopska ostała się w Polsce i w latach następnych, gdy w krajach ościennych, w Niemczech Wschodnich, Czechosłowacji, Rumunii, na Węgrzech — komuniści rozprawili się z nią prawie bez reszty.

Gomułka uznano w tym towarzystwie za czarną owcę, i jak się zdaje, na wiosnę 1959 r. poddano go silnym naciskom dla wyrównania frontu, Gomułka mógłby jednak Ulbrichtom i Nowotnym pokazać język. Użył pochwałę Chruszczowa, gdyż owoce obu przeciwstawnych polityk okazały się zgodne z logiką: rolnictwo polskie ruszyło z miejsca i rozwija się, u sąsiadów zapanował zastrój lub ofiarne się.

Nie wydaje się jednak, aby komunistom polskim czy innym wolno było wyciągać wnioski logiczne z najbardziej nawet udanej lekcji pogładowej. Oto Gomułka i jego ludzie nie przestając chępliwie się owocami „prawidłowej linii polityki PZPR” głoszą z rosnącym naciskiem, że podstawowym zadaniem partii na wsi, obok podniesienia produkcji jest zapanowanie wielkoobszarowej gospodarki socjalistycznej. Optymiści na Zachodzie skłonni są hasło to przypisywać potrzebie „ratowania twarzy” wobec protektorów w Moskwie i rodzimych doktrynerów. Niestety, optymizm ten trudno podzielić.

Warto gwoli ścisłości przypomnieć, że polityka rolno z 1956 r. nie była wyrazem ewolucji linii partyjnej, ale koniecznością. Była rezygnacją z drogiej komunistom doktryny w obliczu dramatycznej sytuacji gospodarczej i napięć społecznych oraz dotkliwego osłabienia partii. Dlatego właśnie z lekcji polskiej nie skorzystały kraje sąsiednie: gospodarkę indywidualną komuniści tam tylko tolerują, gdzie nie mogą inaczej. Pochwałę Chruszczowa należy rozumieć jako przyznanie, że taktyka Gomułki uratowała sytuację, ale nie jako błogosławieństwo dla gospodarki prywatnej.

Dążąc do społeczeństwa bezklasowego nie mogą się komuniści wyrzec sproletaryzowania chłopów. Nie ma więc powodu wątpić w ich szczerść, gdy wbrew interesom produkcji niepokoją wieś zapowiedziami przeobrażenia jej struktury.

Chłopi już w jesieni 1958 r. zareagowali na podobne zapowiedzi (w dożynkowej mowie Gomułki) zmniejszeniem nakładów. Nie trudno wywołać nowe objawy paniki. Obserwowane więc ostatnio zagęszczenie dyskusji o socjalizmie na wsi na pewno nie sprzyja rozwojowi produkcji. Zachodzi pytanie, po co się to robi? Obiecując się nieodmiennie, że przeobrażenie będzie „dobrowolne”. Niezależnie to chłopów uspokaja, bo głoś-

(Dokończenie na str. 2)

Fo P. 2156

NOWE CHMURY NAD WSIA POLSKA

(Dokończenie ze str. 1)

kość tego pojęcia miał już okazję poznać na własnej skórze, a niedawno musiał coś nie coś słyszeć o „dobrowolnej“ kolektywizacji rolnictwa u sąsiadów. To prawda, że rychle zastosowanie równie brutalnych metod w Polsce nikomu nie wydaje się możliwe, ale chyba równie trudno sobie wyobrazić, by ogół chłopów naprawdę dobrowolnie wyrzekł się swej gospodarki, albo żeby komuniści wyrzekli się swego celu, pełnej proletaryzacji wsi.

Natychmiastowe rozwiązanie tych sprzeczności nie jest prawdopodobne. Zresztą i przemysł nie mógłby jeszcze dostarczyć potrzebnej dla wielkoobszarowej gospodarki ilości sprzętu i budynków. W prasie oceniano, że „droga do socjalizmu“ zajmie jakieś 15-25 lat.

Nie należy się ludzi, że w ciągu tego czasu komuniści zapewnią gospodarce chłopskiej spokój i poparcie wysiłków dla podniesienia produkcji. Od samego początku „nowej polityki rolnej“ dowodem jej nieszczerości jest staranne pomijanie konieczności scalenia gruntów w szachownicy. Scalenie jest zwłaszcza w południowej Polsce warunkiem postępu w rolnictwie a zwłaszcza tak drogiej komunistom mechanizacji, ale tworzenie zdrowych gospodarstw chłopskich nie leży w zamiarach Gomulki. Wciąż jeszcze bardzo wysokie i nadmiernie progresywne obciążenia rolnictwa, egzekucja zaległości i nikiel rozmiary udzielanych chłopom kredytów długoterminowych także nie sprzyjają szybkiej intensyfikacji gospodarki.

Uzasadnień zamiaru socjalizacji rolnictwa, dość częstych przed paru laty, już się prawie nie spotyka. To dogmat poza dyskusją, nie tylko dla członków PZPR, ale i dla tzw. Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, którego poprzedni prezes, Stefan Ignar, jak i nowy, Czesław Wycech, posłusznie uznają likwidację gospodarki chłopskiej za naczelną zadanie „chłopskiego“ stronnictwa. Miesięczny organ ZSL, „Wię Współczesna“, wiele miejsca poświęca szukaniu dróg do tego celu.

Zanim „socjalizm“ mógłby być urzeczywistniony w pełni, szuka się metod ograniczenia obszaru i samodzielności gospodarki chłopskiej. Ocenę skuteczności proponowanych środków są w wielce rozbieżne, ale zgodność szerokiej opinii nie jest przecież w kraju dyktatury komunistycznej potrzebna dla podjęcia tego czy innego zabiegu.

Pierwszą wielką próbą posunięcia przebudowy stosunków była uchwała II Plenum KC PZPR w czerwcu 1959 r., na podstawie referatu Gomulki, jak się zdaje nie bez związku z naciskiem zewnętrznym, o którym wyżej była mowa. Postanowiono rolę pionierską powierzyć kółkom rolniczym, pomnażając ich liczbę, rozbudowując zadania, oddając grunty Państwowego Funduszu Ziemi i 24-miliardowym Funduszem Rozwoju Rolnictwa, przeznaczonym głównie na zaopatrzenie kółek w traktory. Uchwała stanowiła rewizję postanowień odbytego zaledwie przed 3 miesiącami III Zjazdu PZPR była widocznie sporządzona na kolanie, gdyż niczego nie przygotowano dla olbrzymiego i trudnego przedsięwzięcia.

Tak gospodarze jak i polityczne owoce tego eksperymentu są dotąd nikłe, a opinie co do jego przydatności są podzielone. Ale łączy się z nim koncepcja wciągnięcia ogółu gospodarstw indywidualnych w sieć zależności gospodarczych: od kółek

rolniczych, spółek wodnych, różnych form spółdzielczości pomocniczej, kontraktów zbytu produktów itd. Ta koncepcja nie wydaje się jeszcze całkowicie opracowana, poszczególne zaś organizacje mające jej służyć nie wszędzie grają jakąkolwiek rolę, nie wszędzie też stanowią narzędzie polityki partii. Metod stopniowego i pośredniego odbierania chłopom samodzielności nie można jednak lekceważyć. Rozumieją to chłop i prasa wielokrotnie donosiła, że „złośliwe plotki“ o kółkach rolniczych jako „drodze do socjalizmu“ utrudniają powstawanie kółek. Mogą jednak powstać warunki, w których nie będzie już można zachować jakiejś takiej niezależności.

Reportaże i ankiety towarzyszące podjęciu hasła mechanizacji rolnictwa stwierdzają zgodnie i radośnie, że wieś docenia wartość maszyn, chce się nimi posługiwać. Pieniądzy nie brak, bo lwia część Funduszu Rozwoju leży dotąd bez użytku. Ale nie tylko niedorozwój przemysłu utrudnia nabycie maszyn. Oto Feliks Starzec rozpatrując stosunki wewnątrz stronnictwa „ludowego“ (Wię Współczesna 3/1962) gorszy się wysuwaniem często postulatem „umożliwienia zakupu cięższych maszyn rolniczych i traktorów na własność indywidualną“. Widocznie normą jest odmowa sprzedaży. A „profesor“ Bolesław Strużek (Wię Współczesna 6/1962) ostrzeż przed podnoszeniem poziomu technicznego gospodarstw chłopskich, bo po zmianie ustroju trzeba będzie innych budynków i maszyn.

Jedną z przyczyn wzrostu produkcji po Październiku było zwiększenie powierzchni gospodarki chłopskiej, a więc bardziej intensywnej, kosztem „społecznej“, mniej intensywnej. Prócz gruntów członków związanych spółdzielni zwrócono właścicielom część ziemi opuszczonej w latach największego ucisku, 1951-1953, podjęto parcelację niektórych gruntów państwowych, a Państwowy Fundusz Ziemi oddał chłopom i bezrolnym w dzierżawę zagospodarowanie ponad pół miliona hektarów, głównie odłogów. Ten proces się odwraca. Już ustawa z marca 1958 r. uznaje ziemie jeszcze nie zwrócone chłopom za własność państwa. Wykrywa się spore połacie rzekomo nieprawnie użytkowane przez chłopów. Państwowemu Funduszowi Ziemi, który z 613 tys. ha na 1. I. 1957 r. napęczniał do miliona ha, poleceno, w 1959 r., by zamiast dzierżawić ziemie chłopom oddawał ją w użytkowanie kółkom rolniczym, gdzie nie ma PGR lub spółdzielni produkcyjnej. Akcja rozwija się w miarę wygasania terminów dzierżaw.

Od niewielu miesięcy „wybuch“ sprawa gospodarstw zaniebanych. Pojawily się wzmianki, że starszym gospodarzom, których odpływ młodzieży do miast pozbawił następców, należałoby ułatwić pozbycie się ziemi w zamian za dożywotnią rentę. Wiąże się z tym sprawę szkód dla produkcji wskutek zwinionej i niezawinionej słabości niektórych gospodarstw.

Partia dostrzegła tu dla siebie nielada gratkę, stąd rzecz nabiera wagi i aktualności. Projekt ustawy o przejmowaniu niektórych gospodarstw rolnych w zagospodarowanie lub na własność państwa (Trybuna Ludu, 23. 6. 1962 r.) przewiduje, że i bez wniosku właściciela „może być wdrożone postępowanie o przymusowe przejęcie na własność państwa części lub całości gruntów, o ile zadłużenie przewyższa 40 procent“ (Sejm podniósł ten stosunek do 50 procent) wartości gospodarstwa. Jeśli wartość przejętego mienia jest większa od sumy długów, właściciel otrzyma bliżej nie określone odszkodowanie. Ustawa rzekomo „realizuje

postulaty wyborców wiejskich...“ Uznanie zadłużenia do połowy wartości majątku za jedyny sprawdzian nieudolności gospodarki kazałoby zaliczyć wiele kwitujących gospodarstw zachodniej Europy do kategorii podupadłych. Nawet pomijając dowolność rządowego szacunku, ustawa otwiera wrota dla akcji groźnej dla gospodarki jak i dla spokoju społecznego wsi.

Oba te względy mogą w praktyce ograniczyć korzystanie z uprawnień. Jak mówią jednak Francuzi, apetyt rośnie w miarę jedzenia. Najpierw pisano o wyjątkowych wypadkach. Potem stworzono możliwość wywłaszczenia powyższych obszarów. W komisji Sejmu informowano, że gospodarstw podupadłych jest ok. 45 tysięcy, co odpowiadałoby kilkaset tysiącom ha. Ale już Artur Bodnar (Wię Współczesna 6/1962) szacuje, że „gospodarstwa chłopskie bez następców obejmują 1,5 — 2 mln ha użytków rolnych, a „ilość ta mogłaby z czasem powiększyć się wielokrotnie“ w razie przyjęcia proponowanych przez autora zasad renowacji. Tą drogą można, jego zdaniem, uzyskać 4-5 mln ha, tzn. około 1/4 ziemi chłopskiej.

Co zrobić z wywłaszczoną skupioną ziemią? Wielu uważa spółdzielnie produkcyjne za właściwą postać socjalizmu na wsi. Wymaga to jednak innego materiału ludzkiego niż starcy, a Bodnar uważa spółdzielczość za formę pół-socjalistyczną. Doradza więc oddanie ziemi głównie majątkom państwowym. PGR, i zabieg ten ładnie nazywa „pegeeryzacją“.

W dyskusji nad jego referatem zwrócono uwagę, że PGR wytwarzają z 1 ha wartość blisko o połowę mniejsze niż zagrody chłopskie, zabieg byłby więc zbyt kosztowny dla produkcji. Nadto, W. Michna (Wię Współczesna 6/1962) trafnie wskazuje, że uzyskane obszary nie będą stanowiły zwartych kompleksów. „Tworzenie z nich PGR musiałoby być związane z przesuwaniem rodzin chłopskich z jednych gospodarstw do drugich“, co jest gospodarczo i politycznie „nie do przyjęcia“.

Kto wie jednak, czy rozumieją to szczyty partii. „Trybuna Ludu“ bowiem w cytowanym już sprawozdaniu z obrad komisji sejmowej mówi o uzupełnieniu dekretu o wymianie gruntów. Zmiana rzekomo „dotyczy nielicznych wypadków, gdy istnieje możliwość przeniesienia gospodarstw prywatnych leżących w obrębie PGR i dania im w zamian pełnego ekwiwalentu w gruntach i zabudowaniach. Precedensy te, przymusowa wymiana gruntów dla zaokrąglenia nie tyle PGR co spółdzielni produkcyjnych w „okresie minionym“ została bardzo złą pamięć.

Dziwnie kręta jest „prawidłowa linia partii“ na wsi.

Józef Poniatowski

ZBRODNIA KATYŃSKA

W ŚWIELE DOKUMENTÓW
Wydanie trzecie — uzupełnione
Stron 300, fotografie, indeks.

Cena 35/-.

Do nabycia u wydawcy:

GRYF PUBLICATIONS LTD.,
171, BATTERSEA CHURCH ROAD, LONDON, S.W. 11
i we wszystkich księgarniach polskich.

PÓŁKA KSIĘGARSKA

TREVELYAN GEORGE MACAULAY, HISTORIA SPOŁECZNA ANGLII OD CHAUCERA DO WIKTORII. Przełożył Adam Klimowicz. Przedmowę do polskiego wydania napisała prof. Margaret Schlauch. Warszawa 1961. Państwowy Instytut Wydawniczy. Str. 636, 4 mapy. Nakład 10 tys. egz.

Przypuszczać należy, że zmarły niedawno znakomity autor „English Social History“, zdołał jeszcze otrzymać polskie wydanie swego dzieła. Choć prawdopodobnie język polski był mu nieznanym, to faktura zewnętrzna dzieła, papier, czcionka, ryciny musiały w historii angielskim wzbudzić pozytywne zainteresowanie. Należy z uznaniem powitać przekład polski „Historii“, nikt bowiem bardziej zajmująco i wnikliwie, aniżeli Trevelyan, nie przedstawi czytelnikowi polskiemu zarysu przemian, jakie w dziedzinie rolnictwa, przemysłu, handlu, oświaty i kultury przechodziła Anglia w ciągu sześciu wieków. Niezwykłe bogactwo faktów, umiejętnie powiązanych i przedstawionych językowo z literacką wirtuozerią — zostało przez tłumacza wiernie i piękną polszczyzną oddane. Wiersze w tekście przełożył z angielskiego Włodzimierz Lewik, „konsultantem historycznym“ (?) dzieła był dr Antoni Mączak, przypisy redakcyjne opracowała Anna Staniewska, obwolotę projektowała Danuta Staszewska.

Niepozabawionym pikanterii jest wstęp pani Margaret Schlauch, która wprowadzie podkreśla pożytek, jaki czytelnicy

cy odniosą z lektury Trevelyana, ale w istocie całą przedmowę poświęca... krytyce jego dzieła z punktu widzenia marksistowskiego. Nie może przede wszystkim darować historykowi angielskiemu, że według niego — nie baza gospodarza tworzy nadbudowę ideologiczną, ale odwrotnie, że „ideologia pod postacią religii, patriotyzmu i tym podobnych idei jest źródłem wydarzeń politycznych, a nawet ekonomicznych“. Nasuwa się po lekturze tej przedmowy pytanie: po co więc Państwowy Instytut Wydawniczy wydał dzieło antymarksy? Próżno byłoby dociekać przyczyn tego paradoksu. Ważniejsze to fakt, że czytelnicy w Polsce po wydanej w 1961 r. „Kulturze Odrodzenia we Włoszech“ Jakuba Burckhardta (zob. Półka księgarska, „Orzeł Biały“, nr 7, 1962) — otrzymali drugie dzieło klasyczne, wzbogacające ich wiedzę historyczną o kraju zachodnio-europejskim.

BOGURODZICA. Opracował Jerzy Woronczak. Wstęp językoznawczy Ewa Ostrowska. Opracowanie muzykologiczne Hieronim Feicht. Wrocław i in. 1962. Ossolineum. Wydawnictwo PAN Str. 438. Nakład 2000 egz.

Bogurodzica wydana została w serii Biblioteki Pisarzy Polskich jako tom pierwszy polskiej „Liryki średniowiecznej“. Jest to nie tylko praca naukowa, ale także tzw. wydanie paradne (Niemcy mają na to określenie: „Prachtausgabe“), na którego treść składa się: wstęp filologiczny; wstęp i komentarz językowy (wraz z bibliografią); wstęp muzykologiczny (wraz z bibliografią); teksty, opracowania i źródła przekazań, transliteracja - transkrypcja; transkrypcja nut; indeks wyrazów i form; objaśnienie zasad indeksu; tabele porównawcze.

Tylko specjalista, orientujący się w olbrzymiej literaturze, dotyczącej Bogurodzicy (sama bibliografia literacka wlicza w księdze 136 pozycji naukowych tej literatury, a bibliografia muzykologiczna 24 pozycje) mógłby podjąć się wykazania, co i ile nowego wnosi to pięciotomowe wydanie przez wrocławskie Ossolineum dzieło do wiedzy o naszym hymnie, otwierającym — jak powiedział Aleksander Brückner — dzieje pisane języka naszego. Wydaje się, że np. o ile idzie o czas powstania hymnu, to wydawcy nie różnią się z Brücknerem i innymi badaczami. Faktura melodii pozwala datować BOGURODZICĘ ramowo na wiek XII i XIII, język utworu wskazuje na przełom XIII i XIV w. jako datę powstania. Pierwszą część mogła powstać już w połowie XIII w. Wydawcy zdołali skupić 51 przekazów tej arcydzieła od 1408 do 1816 r. Niezmiernie interesujący rozwój rafałowy tych przekazów można prześledzić na fototypiach, tj. na 187 rycinach, udatnie reprodukowanych. Księgę tłożono na dobrym papierze offsetowym i kredowanym z fabryk w Dąbrowicy i w Gnaszynie. Na odwrocie karty tytułowej wymieniono jako redaktora naukowego Andrzeja Siuduta, jako redaktora Władysława Floryana i Jadwigę Szwańską, jako redaktora technicznego Mariana Łukańca. Obwolotę zaprojektowaną przez Magdalene Łukas, oddającą w tytułowej czcionce z piętyzmem dostojność i patynę zabytku — wykonał Zbigniew Klimczyk.

Księgę „wydano z zasiłku Komitetu Naukowego Obchodów 1000-lecia Państwa Polskiego“. Tak więc po wydanym w 1961 r. pierwszym tomie Roczników Długosza drugie to już pomnikowe dzieło, ukazujące się w Polsce, związane — wbrew zamiarowi komunistów — z Tyśiącleciem Polski zarówno państwowej jak i katolickiej.

S. M.

Jan Głowacz z Dolnej Chudoby
Zawsze żądał paczek z Haskobey.
Zapytany o powód,
Odpowiedział: „To dowód,
że mam głowę nie dla ozdoby“.

Wzmocnijcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmocnioną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania. Laboratoire B. KALEFLUID FRANCAIS 66, Bld. Exelmans, Paris 16-e.

**SZYBKIE
PRZEKAZY PIENIĘŻNE
do POLSKI**

Tel. FRE 3175
TAZAB
22, Roland Gdns.
London S.W.7

LEKARSTWA!

We Francji

ELKA S.A.R.L.

20 rue Legendre
Paris 17

W NOWYM YORKU: TAZAB, 36 Third Avenue N.Y.3. N.Y.

LEKARSTWA!

Czytaj polską książkę

Polskie życie kulturalne

POLACY WSRÓD OBCYCH

W wielkiej hali wystawowej „Olimpia” w Londynie odbyła się tygodniowa wystawa prasowo-reklamowa „ADEX” 1962 zajmująca się zasadniczo brytyjską reklamą prasową. Był to olbrzymi pokaz, jakiego nie było od 1933 roku, a zatem obrazujący porównawczo dorobek 30-letniego okresu. Ogrom przedstawionych środków technicznych oddziaływania i stosowanych metod jest tak wielki, że przekracza możliwości przedstawienia go w kronikarskiej wzmiance.

Polaków na emigracji, jak zresztą wszystkich emigrantów, szczególnie zainteresować musiało jedno stoisko, koryzujące z życzliwej gościnności na tym pokazie. Jakkolwiek działalność dziennikarstwa i radiowa emigracji jest czymś dość dalekim od reklamy, skupia się bowiem na służbie informacyjnej i kontrpropagandzie, to jednak wiązała się ona z ogólnym tematem wystawy w „Olimpii” wzorowym przedstawieniem swych celów i osiągnięć.

Urządzenie tego stoiska było inicjatywą Międzynarodowej Federacji Wolnych Dziennikarzy, której założycielem i długoletnim prezesem jest Polak, B. Wierzbiański. Wśród wykonawców poszczególnych planów widoczny był też udział Polaków w osobach architekta Z. Gasiewicza, który zaprojektował osobną planszę poświęconą „Dziennikowi Polskiemu” i red. B. Jeżewskiemu, który nie tylko służył radą i swym wielkim doświadczeniem, ale również opracował i wydał osobny katalog prasy polskiej w języku angielskim. Inne czasopisma polskie nie tylko widniały w ogólnych pracowniach wolnej prasy emigracyjnej, ale również w osobnym katalogu poświęconym tej „Międzynarodowej Wystawie Wolnej Prasy” i radia.

Z zestawienia pism wydawanych przez emigrację poszczególnych narodów na wygnaniu widać, że Polska należy do trzech głównych „potęg prasowych” pod względem ilości posiadanych wydawnictw, obok Rumunii i Ukrainy, i stoi pod tym względem na pierwszym miejscu. Ciekawym choć trochę zaskakującym jest fakt, że wśród 12 pism reprodukowanych i sfotomontażu zdołaliśmy tzw. „rozkładówkę” pisma polskiego reprezentuje „Fotorama” redagowana i wydawana przez Edwarda Wojtczaka, znanego pod popularnym pseudonimem „Lucyfer”. Niewątpliwie ten udany wyczyn redakcyjno-drukarski jednej osoby zasługiwał na takie wyróżnienie. Zaprzeczają bowiem najkategoryczniej złośliwemu powiedzeniu z czasów wojny, że gdy tylko zbierze się razem trzech Polaków, to powstanie osobne pismo, gdyż do powstania i istnienia „Fotoramy” wystarcza jeden „Lucyfer”.

Drugim przykładem chlubnego pobytu „Polaków wśród obcych” z ostatnich czasów jest uczestnictwo profesora Józefa Rotblata, znanego specjalisty od zagadnień pierwiastków promieniotwórczych i członka Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie, nie tylko wśród delegatów z W. Brytanii, ale jako stałego sekretarza komitetu tzw. PUGWASH na 10 z rzędu międzynarodowej konferencji tej instytucji w Londynie. Nazwa tej instytucji, będącej właściwie prywatną organizacją uczonych, zainteresowanej zagadnieniami rozbrojenia i sposobami wykorzystania energii atomowej do celów pokojowych, pochodzi od miejscowości w Nowej Szkocji, gdzie w r. 1957 odbyła się pierwsza konferencja.

Bynajmniej nie na tym się kończy lista Polaków działających wśród obcych w zakresie różnych inicjatyw o szerszym zasięgu i kulturalnym posmaku. Już z okazji urzędzenia przez Stowarzyszenie Techników Polskich szeregu wykładów przez angielskich specjalistów w zakresie studiów ekonomicznych, społecznych i administracyjnych, mieliśmy sposobność wspomnieć o udziale w organizacji tej imprezy p. Z. M. T. Tarkowskiego, sekretarza Comparative Administration Trust, specjalnej instytucji mającej na celu krzewienie tzw. naukowej organizacji pracy i przedsiębiorstwa.

W ciągu lata instytucja ta urządziła konferencję w Welsh College of Advanced Technology, w Cardiff, poświęconą zagadnieniom związanym z zbieraniem materiału użytecznego przy kształceniu i zaprawie studentów w zakresie administracji i kierownictwa. Obecnie przygotowany jest czterotygodniowy kurs praktyczny w zakresie administracji i kierownictwa pracami badawczymi oraz rozbudową przemysłu. Kurs ten odbędzie się przy współpracy z Brook-

lands Technical College w Weybridge. Wykładowcami będą profesorowie najrozmaitszych uczelni brytyjskich z Londynu, Manchesteru i innych ośrodków nauk technicznych.

Pocieszającym jest fakt, że w tym nowym ruchu organizacyjnym, bierze udział nie tylko polski świat techniczny, ale także przedstawiciele młodszego pokolenia specjalistów. Udział ich przyczynia się m.in. i do zapoznawania brytyjskiego świata technicznego i przemysłowego z doświadczeniami krajów kontynentalnych, nieraz w tych sprawach bardziej zaawansowanych, niż niektórych działów przemysłu brytyjskiego, trzymających się wciąż metod bardziej tradycyjnych. (n.)

Lwów — 1782 — Wiedeń

J. A. BACZEWSKI

Najwyższej jakości

Gatunkowe

Wódki i Likieri

Przedstawiciel:

J. A. Bruce & Co.

9, Lenthall Place,

(kolo stacji Gloucester Rd.)

London, S.W.7. Tel.: FRE 5808

ZAPOTRZEBOWANIE NA KADRY NAUCZYCIELSKIE

Ogromne zadania mają do wykonania instytucje powołane do kształcenia kadr nauczycielskich — w związku z zaczynającą się w Polsce reformą szkolnictwa. Reforma ta ma doprowadzić do utworzenia 8-klasowych szkół podstawowych. W związku z tą reformą przewiduje się, że do roku 1970 „zapotrzebowanie na absolwentów zakładów kształcenia nauczycieli szkół podstawowych wyniesie 117 tysięcy osób” — pisze „Życie Warszawy”. Istniejąca sieć zakładów, powołanych do kształcenia tych kadr, zapotrzebowanie to będzie mogła pokryć tylko w 62 procentach. W tym samym okresie zapotrzebowanie na nauczycieli szkół średnich oblicza się na około 62 tysiące osób. Aby sprostać tak wielkim zadaniom planuje się zwiększenie ilości miejsc na wydziałach pedagogicznych wyższych uczelni. Ponadto dla zachęcenia młodzieży do pracy w szkolnictwie, ministerstwo oświaty zamierza ufundować większą ilość stypendiów. Omawiany jest także projekt rozbudowy systemu szkolenia zaocznego.

Do studiów na wyższych uczelniach w Polsce zgłosiło się w tym roku ogółem 47.500 kandydatów tj. 1500 więcej niż w roku ubiegłym. Z tego przyjętym będzie mogło być tylko 29.125. Najwięcej kandydatów miały wydziały psychologii (4,5 kandydata na jedno wolne miejsce) i socjologia (5 na jedno miejsce). Popularne były również pod względem liczby zgłoszeń: mikrobiologia, biochemia i wydział filologii angielskiej.

Z instytucji technicznych najwięcej zgłoszeń zanotowano na Politechnice Warszawskiej, najmniej na Śląskiej. Więcej miejsc niż zgłoszeń było na wydziale górnictwa i hutnictwa. (FEC)

WZROST LUDNOŚCI WARSZAWY W OKRESIE 10 LAT

W latach 1951-1960 — jak informuje warszawskie „Życie Gospodarcze” (nr 33)—ludność Warszawy powiększyła się o przeszło 300.000 osób. „W pierwszym 5-leciu przyrost wyniósł około 185.000 (61 proc.), w drugim 117.000 (39 procent)”. Na skutek migracji i przyrostu naturalnego ludność Warszawy powiększyła się prawie o 35 procent.

„Na przestrzeni ostatnich czterech lat — pisze cytowany tygodnik — liczba urodzeń dzieci w Warszawie znacznie spada. Wśród urodzonych w r. 1957, dzieci trzecie i dalsze stanowiły 18,3 proc., a w r. 1960 ich udział zmalał do 14,9 proc. Zwłaszcza pierwsze 5-lecie (1951-1955) cechował wysoki wskaźnik urodzeń — od 23,4 do 23,9 na 1000 mieszkańców. W r. 1961 wskaźnik ten wyniósł już tylko 12, a w b.r. nie przekroczy 11,5”. (FEC)

W. OPOLSKI

SEKRETARZE — ARYSTOKRACI PARTYJNI

GDY w dniu 28 czerwca 1956 r. lud Poznania ruszył do rozprawy przeciw zniechęconym oprawcom, pierwszymi którzy brali nogi za pas byli Ubowcy oraz reprezentanci nowej arystokracji partyjnej — sekretarze partii, na których od chwili opanowania Polski przez reżim komunistyczny opiera się tzw. dyktatura proletariatu. W okresie od wypadków poznańskich do września 1957 r. studenckie pismo „Po prostu” oraz inne pisma krajowe przyniosły wiele przykładów z życia wybrańców, którzy z tytułu zajmowanego stanowiska korzystali z komfortowo urządzonej mieszkań, służbowych samochodów i wysokich poborów, a jak wykazał przykład z Krakowa, nawet służbę domową opłacali z funduszy partyjnych.

Powrót Gomulki i jego zapowiedź czystki w partii, złożona na VIII Plenum komitetu centralnego, przede wszystkim usunięcie zniechęconych sekretarzy, przyjęła ludność z ulgą. Przypuszczano, że czystka obejmie nie tylko sekretarzy na szczeblach wojewódzkich, powiatowych i miejskich, lecz również liczący kilkadziesiąt urzędników aparat centralny, skąd organy partyjne na niższych szczeblach otrzymywały rozkazy do działania.

NIENARUSZONY APARAT CENTRALNY

Wbrew zapowiedzi Gomulki, aparat centralny pozostał nienaruszony, bowiem całą uwagę społeczeństwa zdołano skoncentrować na głównych winowajcach: Bermanie, Radkiewiczu, Miętkowskim i na głównym opanurcy X. departamentu bezpieczeństwa publicznego, Różańskim, jako na głównych winowajcach stosowania wobec obywateli polskich metod stalinowskich. Komisja która miała badać winę sprawców terroru na terenie całej Polski, po oskarżeniu tych kilku zakończyła pracę. Usunięci poszli w tymczasowy stan spoczynku, a ponieważ czynny ich kolidowały z moralnością „socialistyczną” przeto usunięto ich z partii jednak z prawem ubiegania się o przyznanie im z powrotem członkostwa po upływie trzech lat. Dziś po Warszawie krąży uporeczywe pogłoski, że są oni znowu członkami partii.

Jeśli chodzi o sekretarzy na niższych szczeblach, to najbardziej zniechęconych wprawdzie usunięto z rejonów w których rzadziły, głównie jednak przeniesiono ich na nowe stanowiska w innych częściach kraju.

Za to pod koniec 1956 r., nienaruszonemu aparatowi centralnemu Gomulka powierzył przeprowadzenie wyborów do Sejmu. Wprawieni od 1947 roku spece od robienia wyborów i tym razem wywiązali się dobrze z powierzonego im zadania dając Gomulce przewidzianą z góry większość w nowym Sejmie. Wybory przeprowadzali i tym razem za pomocą silnie rozbudowanych egzekutyw wojewódzkich, powiatowych i miejskich.

„POLAND AND GERMANY”

Kwartalnik wydawany przez Ośrodek Badań Zagadnień Polsko-Niemieckich.

Adres korespondencyjny:
20 Princes Gate, London, S. W. 7.



ZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe, druki jedno- i wielobarwne wykonują

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S. W. 11.
Telefon: BAT 0879

W ten sposób cały aparat partyjny od centralnego komitetu w dół został całkowicie zrehabilitowany, a partia podobnie jak przed Gomulką oparła swoją siłę na tych samych filarach — na sekretarzach partyjnych.

ROLA WSZECHPOTEŹNYCH SEKRETARZY

Nie ma w życiu państwowym dziedzi, na którą sekretarze partyjni nie mieliby wpływu. Są oni wykonawcami poleceń centralnego komitetu, właściwej władzy w państwie, wobec której administracja państwa jest tylko organem wykonawczym. Wyższość ta przechodzi na egzekutywy terenowe, a za tym na sekretarzy. Wywierają oni wpływ nie tylko na różne dziedziny administracji państwowej, lecz również i na władze bezpieczeństwa i na organy wymiaru sprawiedliwości. W komitetach miejskich i powiatowych zasiadają bowiem reprezentanci władz bezpieczeństwa, prokuratury, szkolnictwa oraz przedstawiciele głównych przedsiębiorstw położonych na terenie miasta lub powiatu. Na posiedzeniach, które się odbywają z reguły co dwa miesiące, przedstawiciele tych resortów składają sprawozdanie ze swej działalności. M. in. przewodniczący prezydium rady narodowej miejskiej lub powiatowej przedstawia sprawozdanie z działalności władz sądowych, do czego sądy są obowiązane na podstawie ustawy o ustroju sądów powszechnych z 20 lipca 1950 r. W wyniku posiedzenia egzekutywa podejmuje uchwały wiążące dane resorty. Przedstawiciel prokuratury otrzymuje polecenie zaostrożenia walki z pewnego rodzaju przestępstwami, przedstawiciel szkolnictwa o zaostrożeniu akcji przeciw Kościołowi, zaś reprezentanci przedsiębiorstw przemysłowych otrzymują informacje o zauważonych w ich przedsiębiorstwach oznakach niezadowolonia wśród robotników.

WPLYW SEKRETARZY NA ADMINISTRACJĘ LOKALNĄ

Pozostał on nie tylko niezmienny ale przeciwnie uległ jeszcze znacznemu wzmocnieniu. Nominacja nie tylko przewodniczących prezydiów rad narodowych lecz również i personelu zależy bowiem od aprobaty sekretarza terenowego. Jego wpływ na bieg spraw administracyjnych sięga — o czym ludność się już dawno przekonała — do szczegółowego załatwiania spraw. Tak np. w sprawach mieszkaniowych, stanowiących największą bolączkę ludności, mieszkańcy bardzo często zwracają się wprost do sekretarza egzekutywy partyjnej, w przekonaniu, że jego interwencja przyniesie im pozytywny skutek.

Wpływ egzekutywy uległ dalszemu wzmocnieniu i dlatego, że po 1956 r. również i małe zakłady i tzw. punkty usługowe np. jadalnie, które dawniej nie posiadały własnej podstawowej organizacji partyjnej, dziś ją posiadają, bowiem zgodnie z regulaminem partii, każdy taki punkt, w którym pracuje 3

lub więcej członków partii musi ją posiadać.

Sekretarze egzekutyw miejskich lub powiatowych ustalają wysokość składek na różne cele np. na odbudowę stolicy i budowę szkół tysiąclecia. Przed uroczystościami państwowymi, zjazdami partii ustalają ilość uczestników do przemarszu oraz ilość, rodzaj transparentów i treść napisów niesionych w pochodzie. Oni też występują do przedsiębiorstw przemysłowych o podjęcie specjalnych zobowiązań produkcyjnych. Wprawdzie „Głos Pracy” z 19 lutego b.r. określił te zobowiązania jako „lipę”, niemniej jednak egzekutywa przesyła je komitetowi centralnemu, gdzie opracowuje się całość dodatkowej produkcji i oszczędności, po czym Gomulka odczytuje cyfry na akademii.

KOSZTOWA BIUROKRACJA

Stanowiska sekretarzy były zawsze i pozostały do dziś stanowiskami dobrze płatnymi. Również dobrze płatne są stanowiska pozostałego personelu egzekutyw wojewódzkich, powiatowych i miejskich. Tak np. egzekutywa miasta liczącego około 250.000 mieszkańców zatrudnia około 40 pełno-płatnych sekretarzy, działających częściowo w samej egzekutywie, a częściowo w przedsiębiorstwach w terenie. Sekretarz takiej egzekutywy otrzymuje miesięcznie 4.000 złotych, sekretarz od propagandy na szczeblu powiatowym 2.400 złotych, zaś na szczeblu wojewódzkim 2.800 złotych. Niezależnie od płacy partia nadaje pracownikom partii hojne odznaczenia państwowe, które ich uprawniają albo do wolnego przejazdu na kolejach lub żniżek kolejowych. Niektóre odznaczenia uprawniają posiadaczy do 5 procentowej podwyżki emerytury.

Jednak niezależnie od tych korzyści, przemiesieni na emeryturę sekretarze i działacze partyjni otrzymują ze specjalnego funduszu partii dodatkowe do emerytury, wynoszące z reguły 100 procent do pobieranej emerytury. Uprawnieni do tych dodatków są również i dawniejsi członkowie niemieckiej partii komunistycznej, którzy w 1920 r. byli już członkami partii, a po 1945 r. pozostali w Polsce i kontynuowali swoją działalność.

Jest zatem rzeczą zrozumiałą, że za wysokie pobory, ordery i inne korzyści, sekretarze służą partii wiernie. Gdyby te funkcje musieliby wykonywać honorowo, wówczas cała struktura partii zawałiłaby się w ciągu jednego tylko dnia. Toteż starzy „zasłużeni” dla partii komunistów patrzą na ten stan z goryczą. Przypominają jak to oni przed laty utrzymywali partię ze swych skromnych zarobków, a całą pracę wykonywali honorowo. W związku z tym na uwagę zasługuje wypowiedzenie jednego z takich komunistycznych weteranów, iż „gdyby Marks i Lenin widzieli dzisiejszy komunizm w Polsce to na pewno przewróciłiby się w grobie”.

W drugą bolesną rocznicę śmierci

ŚP. ZOFII z REMBIELIŃSKICH MŁODZIANOWSKIEJ

odbędzie się w dniu 26 września 1962 roku o godz. 9-tej w Kościele Polskim w Paryżu (263 bis rue St. Honoré) nabożeństwo żałobne za spój Jej duszy

o czym zawiadamiają

Mąż, Córki, Zięciowie, Wnuki

EUGENIUSZ HINTERHOFF

Rola techników niemieckich w konstrukcji rakiet dla Nassera

PRASA brytyjska doniosła w tych dniach o tajemniczym zniknięciu ze swego domu w Stuttgarcie, technika niemieckiego, dr. Kruga, będącego zarazem dyrektorem firmy, która zajmowała się dostawą części zapasowych dla rakiet budowanych w Egipcie. Sprawa ta ma charakter sensacyjny.

Pokaz rakiet, jaki odbył się na pustyni zachodniej, niedaleko Kairu, w obecności Nassera i przy odpowiednim huku reklamy, był wynikiem paru lat studiów i pracy międzynarodowego zespołu specjalistów od budowy pocisków balistycznych oraz przygotowania dla nich odpowiedniego napędu. Rakiety te, o szumnych nazwach „Zdobycza“ i „Zwycięzca“, o donośności ok. 600 i 400 km, a więc wystarczającej aby osiągnąć każdy cel na terytorium Izraela, zbliżone są pod wieloma względami do dawnych rakiet niemieckich z czasów wojny, znanych pod nazwą V2.

Czołową rolę w budowie tych rakiet odegrał profesor E. Saenger, który podczas wojny zatrudniony był w zakładach w Peenemünde, gdzie skonstruowane były pierwsze pociski balistyczne, pod nazwą V.1, tak zwane „bomby latające“ oraz groźne V.2, które wyrzuciły tyle szkód w Londynie. Po wojnie, prof. Saenger, ofiarował swoje usługi Amerykanom, ale Amerykanie zaangażowali innego specjalistę niemieckiego z Peenemünde, Werner von Brauna, który był podwalnym prof. Saengera, a który obecnie zajmuje stanowisko kierownika „Marshall Space Flight Center“.

Odmowa Amerykanów nastroiła prof. Saengera w sposób wysoce niechętny do nich.

Do swoich zadań na terenie Egiptu wniósł on poza swoim doświadczeniem z Peenemünde nową wiedzę, nabytą podczas sprawowania przez szereg lat obowiązków doradcy naukowego „Instytutu do badań właściwości fizycznych energii słonecznej“ w Stuttgarcie.

O pozycji prof. Saengera w świecie naukowym świadczyć może fakt że podczas kongresu międzynarodowego na temat energii słonecznej, jaki odbył się w Amsterdamie przed paru laty, referat jego wywołał powszechne zainteresowanie.

Na skutek skandalu międzynarodowego jaki powstał w wyniku ujawnienia roli techników niemieckich w Egipcie a zwłaszcza czołowej roli, jaką odegrał tam prof. Saenger, został on zwolniony ze swego stanowiska w instytucji. Być może, dalszym powodem jego dymisji był fakt jego zażyłości stosunków z uczonymi sowieckimi m. in. prof. Siedowym, wybitnym specjalistą i konstruktorem pocisków balistycznych, który jest zresztą bratem słynnego generała Siedowa, szefa wywiadu sowieckiego. O zażyłych stosunkach Saengera z Sowietami świadczyć m.in. może jego artykuł na temat podróży w kosmosie, który zamieszczony był z wielką reklamą w „Prawdzie“ przed paru tygodniami.

W każdym razie, niezmiernie wysokie honorarium jakie miał on otrzymać w Egipcie, (ok. DM 600.000) może być wystarczającą kompensatą za utratę posady w Stuttgarcie.

Jego najbliższymi współpracownikami były prof. J. Baender, który w ciągu ostatnich lat pracował w sowieckich fabrykach samolotów, przede wszystkim w fabryce, która wyrabia samoloty typu Iljuszyn, konstrukcje słynnego Tupoliewa; ponadto, prof. W. Pilz, specjalista od konstrukcji rakiet, który brał udział w budowie rakiety francuskiej „Ve-

ronique“, i wreszcie, prof. P. Goerke, który pracował w Instytucie w Stuttgarcie.

Wszyscy oni, za wyjątkiem prof. Saengera, opuścili Niemcy, udając się do Kairu, gdzie mieszkają w eleganckiej dzielnicy, Meidi.

Zadanie angażowania ekspertów jak również i zakupy odpowiedniego materiału technicznego należało do dra H. Kruga, który był również zatrudniony we wspomnianym Instytucie, a ponadto był właścicielem firmy „INTRA“, która działała jako agent firmy założonej w Zurychu przed paru laty przez egipskiego attaché wojskowego. Jej zadaniem był pierwotnie zakup materiału wojskowego na Zachodzie.

Dr. H. Krug, w wyniku skandalu międzynarodowego z powodu ujawnienia roli techników niemieckich w konstruowaniu rakiet dla Nassera, został zwolniony ze swego stanowiska. Jak wynika z pogłosek z dobrze poinformowanych źródeł, firma jego w ciągu tych paru lat miała zarobić ok. 2-3 miliony marek.

Ze względu na to, że wszystkie honoraria techników, którzy brali udział w konstruowaniu rakiet, jak również i zakupy części składowych musiały być dokonywane w walutach obcych, których Egipt ma katastrofalnie mało, powstaje pytanie, skąd Nasser może sobie pozwolić na tego rodzaju wydatek. Odpowiedź jest prosta, jeżeli weźmie się pod uwagę, że od paru lat, Stany Zjednoczone wpłacają do kas egipskich ok. 70 mil. dolarów rocznie. Pieniądze te,

które, teoretycznie mają być przeznaczone na uprzemysłowienie kraju, w przeważnej mierze idą na opłacanie kosztownego wydatku konstruowania rakiet, oraz na zakupy broni sowieckiej!

Wszystkie prace nad konstruowaniem rakiet w Egipcie prowadzone były, z zachowaniem wielkiej tajemnicy, w zakładach, które zbudowane były przed paru laty przez prof. Heinkla. W zakładach tych dokonywany jest też remont samolotów sowieckich, będących na wyposażeniu lotnictwa egipskiego, co daje, niewątpliwie sposobność do przyjemnej współpracy pomiędzy personelem technicznym sowieckim a ekspertami niemieckimi.

Aczkolwiek koła oficjalne w Bonn negują jakikolwiek związek z ekspertami niemieckimi w Egipcie, niemniej jest rzeczą znamienną, że podczas gdy Egipt stosuje szykany w stosunku do różnych firm zachodnio-europejskich na swoim terenie, przedsiębiorstwa zachodnio-niemieckie traktowane są w sposób wysoce uprzywilejowany. Również, na terenie międzynarodowym Nasser zawsze występuje przeciwko sowieckiej koncepcji dwóch państw niemieckich, popierając tezę oficjalnej polityki NRF. Na tym tle doszło nawet do rozdziewięku podczas konferencji państw neutralnych w Belgradzie w ub. r. gdzie prezydent Tito był własnie gorącym orędownikiem tezy o dwóch państwach niemieckich.

W każdym razie cała sprawa zasuguje na baczna uwagę.

FRANCJA

PRZED MIESIĄCEM INWALIDY

Drodzy Rodacy!

Każdego roku w okresie „MIESIĄCA INWALIDY“, który przypada w październiku br. zwracamy się do społeczeństwa polskiego, duchowieństwa, Kompanii Wartowniczych, organizacji, instytucji i osób z gorącą prośbą o pomoc materialną dla polskich inwalidów wojennych, znajdujących się w ciężkiej sytuacji materialnej i zdrowotnej.

Pomoc ta pozwala nam na częściowe zaspokojenie potrzeb najbardziej potrzebujących, niezdolnych do pracy zarobkowej, niepobierających żadnej renty, względnie dla tych, którzy otrzymują skromną rentę, lecz nie są w stanie z niej żyć, często z rodziną.

Pragniemy przy tej okazji zwrócić uwagę Drogich Państwa na jedną z grup inwalidów polskich we Francji, znajdującą się szczególnie w ciężkim położeniu i pozbawioną wszelkiej opieki prawnej i materialnej.

Chodzi mianowicie o inwalidów b. kombatanów z kampanii wrześniowej z 1939 r. w Polsce oraz inwalidów Armii Podziemnej w Polsce w latach 1939/45, a w szczególności z Powstania Warszawskiego (sierpień-październik 1944). Wymienieni inwalidzi, aczkolwiek walczyli w szeregach armii polskiej, uznawanej za alianckiej przez państwa zachodnie, nie pozostawali pod bezpośrednim dowództwem angielskim czy francuskim i dlatego nie korzystają z rent inwalidzkich, przyznawanych przez rządy angielski i francuski na podstawie odpowiednich rozporządzeń i obowiązujących konwencji.

Inwalidzi ci są uchodźcami wojennymi pochodzenia polskiego, nie zamierzają obecnej chwili wracać do Polski i w związku z tym nie mo-

gą liczyć na pomoc dzisiejszych, konsulatów polskich we Francji ani innej instytucji uzależnionej od tegoż rządu.

Dlatego około tysiąc inwalidów, na liczbę około 3.000 przebywających we Francji, wymaga stałej pomocy materialnej.

Związek nasz jest jedyną organizacją inwalidzką zajmującą się całokształtem opieki nad inwalidami wojennymi we Francji:

— prowadzi na szeroką skalę zakrojoną działalność opiekuńczą, obejmującą również (w ramach możliwości w formie lekarstw) i Kraj.

— udziela pomocy materialnej w formie zapomóg, pożyczek, lekarstw, odzieży, porad prawnych w załatwianiu renty, apelacji do Trybunałów Pensji, Komisji lekarsko-rewizyjnej itp.

— jest organizacją niepodległościową, prawnie działającą i zalegalizowaną u władz francuskich.

Wierzmy, że spotkamy się z pełnym poparciem naszej akcji zbiorowej. Wasza ofiarność jest świadectwem naszej narodowej solidarności i pamięci o tych żołnierzach, którzy w służbie dla Polski i naszych Sprzymierzeńców stracili to najcenniejsze — zdrowie.

Zapewniamy, że każdy zebrany frank przeznaczony będzie na pomoc dla inwalidów wojennych, którzy na pomoc tę oczekują.

Z góry serdeczne „Bóg Zapłać“ za pamięć i dobre Wasze serca.

Pomoc pieniężną prosimy uprzejmie kierować na konto pocztowe naszego Związku (7 913-93 — Union des Mutilés de Guerre Polonais en France, 15, rue St. Gilles, Paris 3) — z zaznaczeniem na „M.I.“

Zarząd P.Z.I.W.
we Francji

DZIWNÓŚĆ jest bramą prowadzącą od ludzi do bogów. Kapłani wielu religii starali się ją trzymać zamkniętą. Na darmo. Może być śliską kładką na której spotykają się po raz pierwszy kochankowie. Bywa także atrybutem i skutecznym instrumentem władców.

Często każą oni wierzyć swym podwalnym że są bogami lub conajmniej synami bogów. Rzeźbione w skale postacie faraonów zdumiewają kolosalnością i bezruchem. Prostota i ogrom ich grobów budzi szacunek, zadumę, lęk. Patrząc na władczą twarz i zacisniętą pięść z granitu trudno dociec w jakim stopniu monarcha przybierał pozę boga a w jakim czuł się nim naprawdę, wierząc w swą moc i nadzwyczajność.

Królowie asyryjscy na płaskorzeźbach z pałaców w Nimrud i Niniwie są pokazywani w pozach uroczystych, niemal nieruchomi. Wokół nich klebi się bitewny nieład, czy zgiełk polowania. Zwierzęta i ludzie nadziewają się na ich włócznie lub stają celem strzał. Śmierć sama jest ich sojusznikiem lub sługą.

Zdarza się jednak że władca wylania się z zamętu wojen domowych i rewolucji. Gdy mundury jego generałów ociekają złotem, kipią wstęgami i orderami on wyróżnia się z pstrego tłumu szarością, prostotą.

Niekiedy dziwność panującego utrwalają usłudni dziejopisarze. Kiedynidziej sam chwytą za pióro czy ryłec, jakby niedowierzał gadatliwości kronikarzy. Bezbarwna moc tak zapisanych werwetów nie słabnie przez stulecia. Słowa są proste, jasne. Prześwieca przez nie dziwność naga, nie przybrana w togę retora, nie wspomniana z imienia.

Gdy nawołujemy ją natrętnie, gdy staramy się ją ulowić — znika. Zdać by się mogło że umarła, że zabił ją pogoni wrzask. (Dlatego zapewne wszystko co teraz piszę będzie tylko śladem jej tropu, obrysowaniem konturów jej cienia). Ale gdy zwracamy znużeni bezwonnym pościgiem, ukazuje się zdumionym oczom kępą trawy, wciśniętą między bryły betonu.

Ruchoma bowiem, trudna do określenia jest granica między dziwnością a zwyczajnością, czy raczej zwykłością. Nieco śniegu czy szronu odmień drzewa tak dalece, że patrzymy na nie w radosnym zdumieniu mijając je w codziennej wędrowce. Tylko obawa śmieszności powstrzymuje nas przed zatrzymaniem się, przed peł-

MIECZYSLAW PASZKIEWICZ

D Z

nym zachwyty bezruchem. Gdy jednak mroźna, śnieżna pogoda potrwa czas jakiś, cudowność powszednie. Wtedy gołe, czarne ramiona drzew podawane nam przez odwilż przykują uwagę i budzą wzruszenie.

Rozkwitła akacja jest uroczą alnie dziwna, gdy przechodzić obok niej w pełni słonecznego dnia. Tymczasem wracającego nocą chwytą zdumienie. Światło ulicznej latarni (a cóż może być od niej powszedniejszego pod słońcem czy księżycem?) wyjęło białe, wonne kiście z znajomej powszedniości dając im za tło wszystką ciemność przestworów i otchłani śródgwiezdnych.

Wiedzą o tej dziwności poeci i chętnie chwytają ją w sieć zwrotek, metafor. Efekty modnych dziś „Son et Lumiere“ szczególnemu oświetleniu zwykłych przedmiotów — a głównie drzew, wody, kamieni — w sposób nieoczekiwany zawdzięczają swe — tanie zresztą — sukcesy.

Czym jednak jest, ta o której mówimy — dziwność? Czy szukać jej należy naokół, w świecie zjawisk, czy raczej stanowi jakąś cechę nas samych? Nasz stosunek do tego co nas otacza? co zachodzi?

To samo zjawisko które zadziwi jednego pozostawi innych obojętnymi. Dzieci dziwią się częściej niż dorośli. Więcej w nich jest zapewne żywiołowej świeżości a mniej doświadczenia.

Mówiąc o dzieciach myślę o tych sprzed lat choćby kilkunastu. Dziś... Biedne dzieci... jakże często zadowolone, przemądrzałe, i syte nie domyślają się nawet jak smakuje krzywdą, głód, szczęście... Oby choć na mgnienie, choćby w obliczu zagłady dane im było zasmakować cierpkiego owocu życia, które w zadziwieniu właśnie, może w przerażeniu, a napędzo w dziwności znajduje swe najgłębsze potwierdzenie.

Jeśli jednak zauważanie dziwności zależy jakby od naszego na nią uczulenia, to przecież niewątpliwie istnieje w świecie zewnętrznym zjawiska które łatwiej od innych i powszechniej wznecają zdumienie; nie trudno tu o przykłady:

Skąły Montserratu, kometa, kot chodzący na dwóch łapach, czy człowiek na czterech, czerep czołgu porosły zielenią, nasza własna twarz

KRZYŻÓWKA NR 477/62

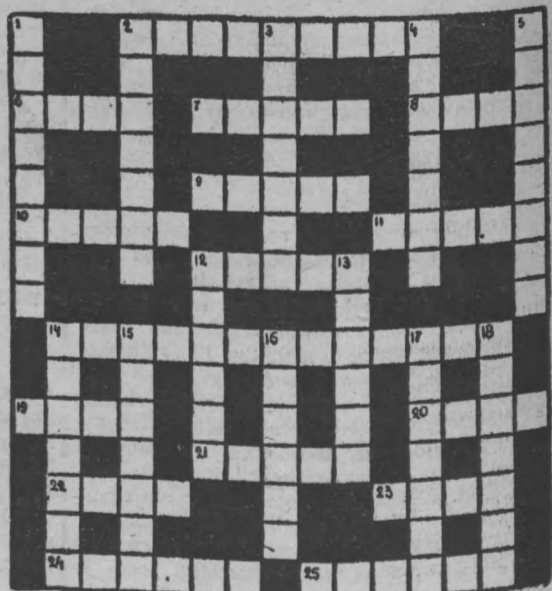
ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 2) najdłuższy żył; 6) i 8) są w Z. kopanem; 7) góralski instrument muzyczny; 9) ma ptak i samolot; 10) ze strachu cierpienie (wspak); 11) był nim Zagłoba z teorbanem; 12) zapotrzebowanie; 14) dawne działo; 19) po deserze (wspak); 20) wiadomo dlaczego zawsze na niej... no; 21) w łazience, w kuchni lub w Dóbrzynie; 22) wolny złot 23) włókno (wspak); 24) łobuziak; 25) rodzaj materiału.

Pionowe: 1) niasto w Polsce; 2) pieski; 3) np. Sukiennice w Krakowie, Stare Miasto w Warszawie; 4) taka może być praca; 5) na niebie i w oczach; 12) kiedys używano go do mierzenia czasu; 13) podstawowe założenie; 14) najslawniejsza w Polsce — Rzym; 15) autor Orłątka; 16) szczyt w Polsce; 17) niejskowość w górach w Polsce; 18) bezkształtność.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI nr 466/62

Poziome: 1) tysiąclecie, 7) dywan



(wspak), 9) czereda, 10) masakra, 11) tępy, 14) i 15) Lemkowie, 16) skok, 18) koczula, 21) pasierb, 22) juhas, 23) towarzystwo (wspak).

Pionowe: 2) indyki, 3) cecha, 4) efekt, 5) animusz, 6) i 20) Mazepa, 8) wesolek, 12) piecuch, 13) wstawka (wspak), 17) kleks, 18) Zabok (wspak), 19) sójka.

ZIWNOSC

odbita w starym weneckim lustrze, ciemno-złota i odległa jak twarze z portretów Tycjana...

Może więc coś z dziwności jest naokół, a coś w nas samych? Może świat jest bezdennym jej źródłem, w niektórych swych przejawach więcej, w innych mniej oczywisty, ale na to aby ze źródła tego czerpać trzeba człowieka, który by się nad nimi pochylał?

Wróćmy jednak do zjawisk, które dziwności sprzyjają. Oto dziwny wydaje się frak na plaży, pałac wśród ruin. Ale nie mniej dziwna, choć na negatywny, przynębiający sposób, jest zupełna identyczność domów, geometryczna symetria ulic w mieście-modelu. Tak jakby wrażenie dziwności wywoływało natknięcie się na zjawiska nieoczekiwane, choćby nieoczekiwaną była ich powszedniość. Wiele eksperymentów w nowoczesnej dramaturgii i kinematografii próbuje iść po tej linii — nie zawsze ze szczęśliwymi rezultatami.

Aby bowiem znaleźć sposób na schwywanie owej najpowszejdniejszej ze wszystkich dziwności potrzebne są jakby zaklęcia szczególnie potężne, instrumenty niezwykle precyzyjne, delikatne. Posiadać je, umieć nimi władać, to znaczy — być artystą. A tych nie wielu bywało i bywa. Sztuka podkreśla i wykorzystuje dziwność. Nią żyje, nią jest. Oto pozorowanie nieoczywista dziwności cytryn i jabłek na talerzu, twarzy ludzkiej, światła przeświecającego dłoń i policzek świętej Ireny na obrazie Jerzego de la Tour.

Próby pokazania dziwności oczywistych (a więc raczej dziwaczności, dziwolągów), zjawisk mających prerażać: nożów ociekających krwią, czy stada głodnych wilków dopadających konia o rozwianej grzywie, objęzzonego omdlałym, nagim ciałem skrapowanego jeźdźcą, — zwykle zawodzą: budzą niesmak lub uśmiech. Sztuka romantyczna z całym arsenałem głośnych okropności jest jak bateria wielkich moździerzy strzelających na wiat ładunki konfetti. Jeśli obrazy czy poematy pełne okropności są dziełami sztuki to raczej pomimo niż dzięki tym rekwizytom.

Trzeba było geniuszu Goyi by z ulicznej egzekucji w Madrycie wykręcał arcydzieło. Po uciążliwej włóczędze wśród wymaginowanych wszechświatów i jałowych krain abstraktu gotowi jesteśmy przyznać rację pocie gdy powiada:

*Moja poezja to są proste dziwy,
to kraj, gdzie w lecie
stary kot usnął pod lufcikiem
krzywym
na parapacie.*

Jednym ze źródeł dziwności jest zapewne niedostępność: dziwnym wydaje się drugi brzeg rzeki, a nawet płaskość, szarość pól widziana z okien pośpiesznego pociągu.

Każdy chyba doświadczał uczucia gwałtownej ochoty dotarcia do zielonej wysypki na jeziorze czy choćby stawie, albo przedostania się przez szpary w parkanie otaczającym ogród opuszczonej od dawna willi. Biała tym którzy ulegli pokusie: puszki po sardynkach, kardzewiale koło roweru, kupa butwiejących liści, stały się jedynym łupem ich naiwnych nadziei. Przeciwnie, gdy wyspie i parkowi zostawia ich małe, zielone tajemnice odwiedzają się po królewsku, wypełniając na długo nasze sny i marzenia bajką i cudem.

Ale marzenia nie są jeszcze dziełami sztuki. Między obietnicą a do-

pełnieniem leży trzęsawisko twórczego trudu. Rzadko udaje się je przebyć, niewielu próbuje nawet. Bo też nieraz zdawać by się mogło że i nie warto: Dzieło sztuki jest jakby utrwaleniem, może nawet umonumentowaniem, ale zarazem unieruchomieniem dziwności. Wyniesione na piedestał — zastyga. I tak muzea i galerie stają się jej cmentarzami.

Dlatego może, przez szacunek należy umarłym, panuje w nich cisza. Matki karzą tu półgłosem niesforne dzieciarnię. W oczach kamiennych lwów czai się znużenie. Ciężko jest dźwigać w sobie przez wieki los nagrobka.

W jasnych, przestronnych salach krokiem naszym towarzyszy wzruszenie, zachwyty, ale zdziwienie nie częstym bywa gościem. Kolosalne nagromadzenie dziwności zakrzeple w dziełach sztuki jest tu być może czymś tak oczywistym że niedostrzegalnym. Niedostrzegalnym oczywiście przede wszystkim dla dorosłych.

Z wiekiem zatracamy bowiem jakby wycucie, instynkt dziwności. Świat staje się zwyczajny. Dokładamy też starań by go w tej zwyczajności utrwalić: „Tak będzie lepiej, wygodniej, bezpieczniej...“ A przecież jest w człowieku jakaś elementarna wiedza, krnąbrna, dziecięca mądrość, które każą mu wierzyć mimo wszystko we wszechstronność dziwności. Natrafiamy na nią tam właśnie gdzie najmniej można jej było z pozoru oczekiwać: ukrytą wśród papierów na naszym stole, żeglującą na liściu klonu po jesiennym stawie.

Napotykać jej oczy wlepione w nas ciekawie, bezlitośnie, gdzieś z głębi wagonu gdy budzimy się nagle na ostatniej, nieznannej stacji prześpawszy nasz własny przystanek. Tak właśnie: wyobrazićby sobie można początek wiekiistości: Pociąg wjechał w puszysty błękit i stanął...

Jeśli niekiedy napędzają nas może dziwność przerażeniem czy grozą, to w istocie jest jednak jednym z głównych pokarmów szczęścia; bez niej karłowacieje ono lub umiera. A przecież robimy wszystko by się dowiedzieć, by poznać przyczynę, niepomi na mądrą przestrożę Wilhelma Davenanta:

*But ask not bodie's doom'd to die
To what abode they go;
Since Knowledge is but Sorrow's
spy,
It is not safe to know.*

Dlatego nie będę już dalej roztrząsał sprawy dziwności ani przedłużał bezowocnego poszukiwania. Nie każdemu świecić może drogowskaz gwiazda jak monarchom Kasprowi, Baltazarowi i Melchiorowi, którzy jada — w tej właśnie kolejności — na romańskiej predelli z Katalonii. Wszystko w tym obrazie jest dziwne: barwa koni, symetria kolumn i twarze mędrców-władców. Ale jeźdźcy nie dziwią się niczemu w swej wielowiekowej wędrowce. Gwiazda świeci nad nimi, ale oni nie patrzą na nią, skupieni raczej na szczegółach podróży.

I mnie trzeba zwrócić się ku szczegółom. Dać kilka ziaren cukru biedronce która przetrwała sama, lub żywym łańcuchem pokoleń, poprzez najciemniejsze dni zimy i wędruje teraz po grzbiecie książki. Oprócz dłonie na ciepłych łbach potwora, które warują u poręczy fotela. Popatrzeć w ogień. To w kręgu jego przychylności, leniwa i senna, grzeje dziś swe lśniące futro — dziwność.

MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Jazgot szczenięcia, któremu przytrzaśnięto dzwiami czubek ogona i z melodyjnym śpiewem w porównaniu z jękiem duszy pisarza, któremu zła krytyka poradziła by szukał szczęścia w innym zawodzie. Uczucie głębokiej krzywdy nie jest bynajmniej monopolem grafomanów. Ulegają mu także pisarze z prawdziwego zdarzenia i to zarówno „młodzi“ jak i „dojrzały“.

Kto szuka ten błądzi

Młodość lub starość oznacza co innego w języku potocznym a co innego w świecie pisarsko-recenzyjnym. Jeśli czyjaś książka „chwyci“ staje się natychmiast „dojrzały“ choćby nie miał wiele ponad dwadzieścia lat życia. Zato osobnik wiekiem szterany i w życiu codziennym nader stetryczny, w języku krytyka jego dzieł będzie często takim co to ciągle „jeszcze szuka“. Czego szuka? To zależy. Może szukać „dużo“, „ekspresji“, „własnego stylu“. Często szuka tematu, a prawie zawsze czytelników. Zwykle bezskutecznie.

A więc kto szuka ten błądzi. To jest podstawowe i święte prawo literacko-recenzyjne.

Na szczęście dla literatury recenzenci są także specjalistami od błędzenia. W przeciwieństwie do pisarzy błądzą nie zadając sobie fatygi by czegośkolwiek poszukiwać. Bo i poco? Przecież z tytułu swojej funkcji wiedzą co i jak należy pisać.

Zażarty bój między tymi, którzy wiedzą jak pisać, lecz nie piszą a tymi którzy piszą, choć nie wiedzą jak — trwa od zarania naszej cywilizacji.

Chciałbym to jakoś prościej wyrazić. Na przykładzie miłości. Ostatecznie w haremach za prawdziwego specjalistę od miłości uchodził eunuch. Umiał i poradził i skrytykował, chociaż sam własnych rad nie stosował w praktyce.

Jak zwalczać krytykę?

Protokół literacki zapewnia krytykowi nietykalność. Pisarzowi nie wypada z nim polemizować. Może co najwyżej podszeptać innemu krytykowi by „jął go (pisarza) w obronę“. Prośba zwykle bywa wysłuchana, lecz zupełnie z innych powodów niż się proszącemu zdaje.

Innym sposobem, dziś niestety zaniebawianym, był pojedynek. Po dwóch strzałach z pistoletu lub po kilku zamasytanych błyskach szabli, krytyk szedł z pisarzem na wódkę, i tym sposobem jeden i drugi byli honorowo oczyszczeni. Sposób miał niestety jeden feler: najbardziej honorowe załatwienie sprawy nie zmieniło na jej wartości skrytykowanego dzieła.

Zdawało by się wobec tego, że najlepszym sposobem zemsty pisarza nad krytykiem było by pozabawienie go (krytyka) rozkoszy czytania dzieł pisarza. W innych słowach i jako rada: chcesz się pozbyć krytyki — przestań pisać.

Jak usprawnić krytykę?

Jest to sposób heroiczny i dlatego niewykonalny.

Jak usprawnić krytykę? Proponuję wobec tego sposób inny. W naszym światku tak się dzieje, że każdy pisarz jest jednocześnie krytykiem. Powoduje to podziwu godną łagodność wszelkich krytyk. Wiadomo: poco si naraża... Ja dziś o Tobie, Ty jutro o mnie. Lecz przecież to pisarzy-krytyków niepotrzebna praca. Czyż nie lepiej skrócić procedurę i umówić się raz na zawsze, że każdy pisarz będzie sam pisał recenzje o swych książkach? Osiągnęlibyśmy tym samym ideał dotychczas nieziszczalny: recenzent znałby treść książki którą krytykuje.

Szepeć mi w tej chwili jakiś zły duch od ucha, że spoźniłem się z tym pomysłem, gdyż się go stosuje już od dawna i to wcale często...

Dobrze wiedzieć... (A)

Dobrze wiedzieć bo się przydać może.

W numerze 31/1047 nasz korespondent ze Szkocji pomylił beztroško nazwiska i nazwy w notatce pt.: „Naukowcy polscy w Szkocji“. Jednym przypisał dyplomy „with honours“ innym zaś się zadowolili dyplomem „ordinary“.

Tymczasem różnica jest istotna. „With honours“ jest zbliżony do naszego „magna cum laude“ i otwiera drogę do dalszej kariery naukowej. Oznacza, że ten kto go otrzymał posiada określoną specjalizację i udowodnił jej posiadanie. Dyplom „ordinary“ tymczasem to taki sobie dyplom, często nagroda za kilkoletnie pokazywanie się

na uniwersytecie. Nie jest paszportem do dalszej kariery naukowej.

Błąd nasz wywołał komentarze w kołach młodych naukowców polskich. Nie przeszkodził rzecz jasna p. A. Filipowi Krassowskiemu w otrzymaniu zaproszenia na dalsze studia fachowe w amerykańskim Columbia University, gdyż poza naszą notatką mógł się jeszcze wykazać pięknym dyplomem, gdzie słowa „with honours“ wypisano wyraźnie chociaż po łacinie. Niemniej błąd wymaga sprostowania.

Dobrze wiedzieć... (B)

Tyle w sprawie dyplomów na uniwersytetach w Szkocji. Teraz zaś na odmiennie zapraszam autora notatki (w Agencji FEC), którą wydrukowaliśmy w poprzednim numerze OB, by zasiadł razem z naszym redaktorem naczelnym, redaktorem „dyżurnym“ i korektorem nad mapą Brazylii. Gdy wszyscy wezwani to uczynią dowiedzą się, że miasto Sao Paulo nie jest stolicą stanu Parana.

„Człowiek sowiecki“ to nie konieczne Rosjanin (Czyli: pamiętajmy o Estonii!)

Reportaż z Maclean kanadyjskim. Fotografie i mnóstwo tekstu. „Rosyjscy“ rybacy w Nowej Funlandii.

Wyczyny sowieckiej floty rybackiej budzą uzasadnione obawy. Nie tylko z powodu jej roli szpiegowskiej na wszystkich morzach świata, lecz także z powodu rabunkowej i barbarzyńskiej techniki wylawiania dosłownie wszystkiego co się rusza w wodzie przy użyciu gęstych sieci, których nie użyje żaden cywilizowany rybak.

SOVIETICA

Pierwszy i siedemnasty września 1939 r.

Na łamach moskiewskich „Izwestii“ z 4 września ukazał się artykuł pt. „Rewanszistki szaban“ jakiegoś Artura Kowalskiego z Warszawy, czyli polskiego komunisty. Tematem był obecny kryzys berliński, oświetlony ze stanowiska sowieckiego, a więc jako następstwo amerykańsko-niemieckiej agresywności skierowanej przeciw „pokojowym państwom socjalistycznego bloku z Rosją na czele“. Autor ponadto zachwalała służalczo politykę Kremla, wyrażoną w postulatce zawarcia pokoju z podzielnymi Niemcami, co by — jak pisze — „znormalizowało“ stosunki we wschodniej Europie, czyli — nazywając rzecz po imieniu — utrwaliło sowieckie panowanie nad nią.

Wszystko to zrozumiałe i niczego innego od warszawskiego A. Kowalskiego na łamach „Izwestii“ nie można było się spodziewać. Pikanterią natomiast dodaje jego artykułowi krótki ustęp, poświęcony rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej. „Pierwszego września — czytamy — państwo nasze obchodziło ciężką rocznicę — dnia tego minęło dwadzieścia trzy lata odkąd hitlerowski hordy wiarołomnie napadły na Polskę. Wspominając tę datę, naród polski bacznie śledzi niebezpieczny rozwój militarystyki i rewanżyzmu Niemieckiej Republiki Federalnej“.

Autor nie mógł by artykułu przeciw tymże „hitlerowskim hordom“ na łamach „Izwestii“ ogłosić przed dwudziestu trzema laty, ponieważ... Sowiety były wówczas sprzymierzone z tymi hitlerowskimi hordami. Co więcej, dopiero po tym przymierzu, z Rosją podpisanym 23 sierpnia 1939 w Moskwie, Hitler mógł się zdecydować zaatakować Polskę i rozpętać zarazem drugą wojnę światową. W siedemnaście dni później, 17 września zaatakowały walczącą z Niemcami Polskę od wschodu — Sowiety. O tym nikomu pod sowieckim panowaniem nie wolno prawdy napisać, ani w „Izwestiach“ ani w żadnej gazecie polskiej i nie wspominał tego również posłuszny Moskwie A. Kowalski.

RÓŻNICE — ZNOWU WYOLBRZYMIANE

W prasie zachodniej minęła fala przesadnych zachwyty nad wiadomościami o sukcesach sowieckich astronautów i sowietologia wróciła do znanego procedury wyolbrzymiania różnic w bloku Moskwy, natrafiającej rzekomo na silną opozycję przeciw polityce „pokojowej koegzystencji“ z Zachodem, prowadzonej przez Chruszczowa. Materiału dostarczył ostatnio artykuł, podpisany przez tegoż Chruszczowa na łamach wrześniowego wydania „Problemów Pokoju i Socjalizmu“, ideologicznego mie-

Statki-fabryki przerabiają najmniej-sze odpadki rybnie i wyłączając łusek na produkty białkowe, tak konieczne dla skazanej na wieczny głód ludności państwa szczytującego się lotami międzyplanetarnymi. O tym wszystkim napisał Maclean.

Lecz jednocześnie stwierdza, że Rosjanie to bardzo mili, uprzejmi i dobrze wychowani ludzie. Przynajmniej ci rybacy, których reporter widział na Nowej Funlandii. Zgadzać się z zdaniem, że Rosjanie bywają mili. Lecz reporter kanadyjski ich nie widział. Widział załogi statków sowieckich wśród których Rosjan nie ma, choć pisze rzewnie o „słowiańskich twarzach“.

„Słowiańskie twarze“ na fotografiach należą do Estończyków, a statek-matka floty nazywa się „V,ra“. Jego portem macierzystym jest Tallin.

Zapomniał Zachód o niewoli narodów bałtyckich. Reporter nie zna ani geografii, ani historii ani nie wiele wie o polityce.

Dodajmy jedną pikantną uwagę. Sowiety zabierając narodom wolność szczytują się, że przy ich poparciu w każdej „republice“ sowieckiej krzewi się język i kultura narodowa. Dlaczego więc i nazwa „V,ra“ i „Tallin“ wypisano w rosyjskim alfabecie.

Sądzę, że i to mogło zmilczyć reportera, który do nieznamomości przedmiotów wyżej wymienionych dodaje jeszcze nieznamomość rosyjskiego. Dość potrzebna to znajomość, zwłaszcza gdy się pisze o „Rosjanach“, którzy mówią tylko po estońsku.

J. P. H.

SPK. MATERIAŁY OSWIATOWE.

ODZIAŁ ODCZYTÓW

Zdzisław Stahl: „Dwudziestolecie
Polski Niepodległej 1918—1939“ Za-
rębs informacyjny

Str 24 Cena 1/-

Do nabyć u: SPK i wszystkie
księgarnie polskie.

POLACY NA CLAPHAM DYSKUTOWALI O ZADANIACH PIERWSZEGO OGÓLNEGO ZJAZDU POLAKÓW W LONDYNIE

Na tle pomysłu udekorowanej scenie pomysłu p. inż. H. Bienkowskiej (granicie Polski z 1939 powiększone na zachodzie po Odrę i Nysę, ziemie wschodnie, zraborowane przez Rosję Sow. przedzielone drutem kolczastym) odbyło się w sali parafialnej na Clapham zebranie dyskusyjne z udziałem delegatów wybranych niedawno w tym obwodzie przedwyborczym na Ficwsy Ogólny Zjazd Polaków w Wielkiej Brytanii. Zebranie zagał przewodniczący komitetu organizacyjnego mjr pil. Z. Bienkowski, który powitawszy na wstępie gości przedstawił z kolei obecnych na sali delegatów i delegatów, witanych serdecznymi oklaskami przez zebranych.

Z kolei wygłoszone zostały trzy zasadnicze przemówienia, przy czym jako pierwszy zabrał głos przewodniczący Egzekutywy Zjednoczenia dr Witold Czerwiński, który uzasadniał ważność Zjazdu i jego charakter polityczny. Szczególnie wiele serdecznych słów poświęcił mówca problemowi młodzieży, której wychowanie w duchu polskim i utrzymanie w polskości a jednocześnie włączenie do wspólnej walki o odzyskanie niepodległości winno się stać jednym z naczelnych problemów Zjazdu. Drugim mówcą był red. Paweł Hęciak, który mówił o Millennium, któremu Zjazd winien dać także wyraz. „Na kanwie tysiąclecia naszych dziejów, rozpiętej od kresów wschodnich po Odrę i Nysę, od Morza Bałtyckiego po Tatry, toczyć się będzie z pewnością dyskusja o zmianach, jakie zaszły na ziemi polskiej, o wstrząsach, jakie po tej ziemi się przetaczały, o narodzie i jego wspaniałej postawie, jaką potrafił zachować pod jarzmem komunistycznym. Z pewnością podjęte będą — i być muszą — uchwały w których damy ponownie wyraz, iż choć nad Tamizą jesteśmy częścią tego samego narodu nad Wisłą, że jego troski są naszymi troskami, że choć na Obczyźnie jesteśmy i pozostaniemy wierni Ojczyźnie. Pierwszy Ogólny Zjazd Polaków w W. Brytanii winien stwierdzić raz jeszcze, że przecież nie chodzi o nic innego i nic ważniejszego jak o odzyskanie wspólnymi siłami prawdziwie wolnej Polski”.

Z kolei przemówił p. W. Choroszewski, który przedstawił tok pracy Zjazdu, problematykę, jaka najprawdopodobniej będzie na Zjeździe poruszona, dając jednocześnie wyraz nadziei, że podjęte uchwały zostaną wykonane do czasu zwołania następnego Zjazdu. Spośród licznych spraw jakie winny być poruszone w komisji emigracyjnej mówca wymienił sprawę Skarbu Narodowego, zjednoczenia politycznego, zachowania właściwego oblicza tej emigracji politycznej, którą należy za wszelką cenę ochronić przed penetracją komunistyczną i przed spolonizowaniem.

W żywej dyskusji w której dawano wyraz serdecznie trosce o młodzież, zabierali głos m. in. mjr M. Siewiński — przewodniczący Komitetu Parafialnego na Clapham, J. Kowalski, H. Bienkowska, Kotlicki i J. Horbaczewska. Na zebranie przybył także ks. kan. S. Cynar.

Najpierw kilka słów o piłce nożnej. Odbyły się dwa dalsze mecze o Puchar Europy. Swoją pierwszy mecz rozegrał mistrz Polski Polonia Bytom z greckim mistrzem Polpanathinaikos z Aten. Mistrz Polski wygrał 2:1, co wcale nie jest wysokim zwycięstwem. Wszystko zależy od rewanżowego spotkania. Natomiast wysokie zwycięstwo odniósł włoski AC Milan bijąc mistrza Luksemburga 8:0. Wreszcie szwajcarski Servette z Genewy przegrał dość niespodziewanie z holenderskim Fejenoord z Rotterdamu 1:3. — W Londynie gościła mimo wszystko wciąż jeszcze najlepsza drużyna świata, madrycki Real, który pokonał Arsenał z dziecinną łatwością 4:0. Publiczność serdecznie oklaskiwała drużynę hiszpańską, która grała jakby od niechcenia, albowiem gracze Arsenálu właściwie nie istnieli na boisku. Real grał na „pierwszym biegu”, bez wysiłku, od czasu do czasu tylko pokazując swoją wielką klasę. Dobre chęci i kondycja jeszcze długo nie wystarczą na pokonanie Realu, choć i Real nie jest tym czym był przed dwoma laty. Bramki dla Realu zdobyli Gento dwie i Puskas oraz Dawcik (który po przerwie zastąpił C. to) po jednym.

VII Lekkoatletyczne Mistrzostwa Europy przyniosły największy zawód Polakom. Nie było to zresztą żadną specjalną niespodzianką, bo od dawna nie ulegało wątpliwości, że szczyt potęgi polskiej lekkoatletyki minął wyraźnie. Nie można mieć o to do nikogo pretensji, bo to tak zawsze bywa. Po wielkim zrywaniu następuje jakgdyby przesyty czy zmęczenie. A poza tym wiele mistrzowie nie rodzą się na kamieniu. Krzyszkowiaka czy Zimnego nie łatwo zastąpić; by osiągnąć ich klasę trzeba lata zaciętej pracy i uporu. Jakby nie

PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

HASKOBA LTD

121, EARLS COURT ROAD,
LONDON, S.W.5. FRE 7888.

PACZKI WOLNE OD CŁA

KLUB LOTNIKA POLSKIEGO W LONDYNIE

W Domu Lotnika Polskiego w Londynie odbyło się ub. niedzielę otwarcie klubu połączone z cocktail party. Na otwarcie przybyło wiele osób spoza grona lotników m. in. gen. W. Anders, gen. S. Kopański z małżonką, dr W. Czerwiński, prezes Zjednoczenia Polskiego red. P. Hęciak. Gdy na salę wszedł gen. Anders orkiestra odegrała marsz generalny. Gości powitał p. Jerzy Rudnicki, przewodniczący Komitetu Klubowego. Przypomniałszy pamiętne dni września 1940 r. i rolę lotnika polskiego w tamtych dniach, p. Rudnicki zakomunikował, iż już w następnym tygodniu — w dniach 28 i 29 września — odbędzie się Zjazd Lotników Polskich. Z tej okazji odnowiony został lokal klubowy lotników i kierowniczka klubu została p. Janina Konopka. Pod jej doświadczonym kierownictwem Klub Lotnika stanie się z pewnością jak zresztą zawsze był — popularnym i cieszącym się uznaniem lokalom polskim. Zabrała także głos p. J. Konopka, obiecując uczynić wszystko, aby Klub w Domu Lotnika był na najwyższym poziomie.

Goście przyjmowani byli z serdeczną gościnnością. W miłej atmosferze zabierali jeszcze głos inż. pil. płk J. Zięziński — z ramienia Rady Stowarzyszenia Lotników oraz p. Jędrzejewski — przewodniczący Kola Londyn Stowarzyszenia, który wręczył gen. Andersowi oryginalny krawat lotnika. Gen. Anders złożył serdeczne życzenia nowemu kierownictwu klubu jak i Stowarzyszeniu Lotników Polskich oraz podziękował za — nałożony jeszcze na sali — miły dar lotników.

PRZEGLĄD SPORTOWY

TRZY ZŁOTE MEDALE ZDOBYLI POLACY

NA VII LEKKOATLETYCZNYCH MISTRZOSTWACH EUROPY W BELGRADZIE

było z melancholią trzeba zanotować a może tylko przypomnieć, że na ostatnich mistrzostwach europejskich w Sztokholmie w 1958 zabraliśmy do Polski aż 8 złotych medali, dwa srebrne i dwa brązowe. Chyba dość jak na jeden występ. **Złote** zdobyli: J. Chromik w biegu 3.000 m z przeszkodami 8:38,2 min., J. Schmidt w trójskoku 16,43 m., E. Piątkowski w dysku 53,92 m., T. Rut w młocie 64,78 m., J. Sidło w oszczepie 80,18 m., i S. Sobottowa (Janiszewska) w biegu na 200 m. 24,1 sek. **Srebrne**: K. Zimny na 5.000 m. 13:55,2 min. i K. Kropidłowski w skoku w dal 7,67 m. **Brązowe**: H. Grabowski w skoku w dal 7,51 m. i sztafeta pań 4x100 (B. Sobottowa, M. Chojnacka, C. Gerwinowa, M. Bibrowa) 46,0 sek. (nie liczymy trzech czwartych, czterech piątych i sześć szóstych miejsc).

Zupełnie inaczej wyglądała sytuacja w Belgradzie. Do przedostatniego dnia mistrzostw Polska miała zaledwie 1 złoty, dwa srebrne i 4 brązowe medale oraz wiele przykrych niespodzianek po których napewno zgodnie ze zwyczajem posypie się w Polsce grad krytyk i to krytyk często przesadnie ostrych, jednostronnych i krzywdzących. Nie chciałbym siedzieć w skórze tych zawodników, którym wolno wszystko — tylko nie przegrywać, choć w Belgradzie przegrywali w najbardziej zaciętych walkach i w stylu, który przynosi im zaszczyt. Tak np. miła sercu polskiego widza telewizyjnego była napewno scena, gdy Zimny, mający przecież z malutkim, filigranowym Tullohem czysto sportowe porachunki, potrafił po przegranej, która przy większej uwadze Zimnego mogła być właśnie równie dobrze i jego wygrana, podejść do Tulloha i serdecznie go uściskać. A pamiętamy dobrze zaciętą walkę — dawno stoczoną w Londynie pomiędzy tymi asami, gdy publiczność podejrzewała Zimnego i Boguszewicza o blokowanie czy nawet używanie łokci by zepchnąć Tulloha z toru. W Belgradzie Zimny w pięknym geście uznał wyższość swego napewno sympatycznego rywala, który zawsze znajdował dla Polaków a zwłaszcza dla Zimnego wiele miłych słów dla podkreślenia, iż Polacy walczą fair i są świetnymi sportowcami.

A druga scena: po zwycięstwie długonogiej Niemki J. Heine objęła ją serdecznie Basia Sobottowa, która w finałowym biegu na 200 m zajęła trzecie miejsce (w Sztokholmie pierwsze) gratulując zasłużonego i efektownego zwycięstwa. Tak zresztą powinno być między sportowcami. Jeśli Rosjanie zdobyli sporo złotych medali w Belgradzie to nie należy się dziwić, pamiętając o ichnim systemie uprawiania sportu (sport to ważny czynnik propagandy komunistycznej). Natomiast niewątpliwie wielki sukces odnieśli Anglicy, którzy mają najszlachetniejsze w świecie powody do radości.

Otwarcie mistrzostw odbyło się bardzo uroczysto. Na honorowej trybunie zajął miejsce marsz. Tito z małżonką, poczym przeddeflowało 900 zawodników i zawodniczek w barwnych strojach sportowych, 200 przedstawicieli różnych władz sportowych reprezentujących 28 państw. Na końcu szli oczywiście gospodarze. Były, jak zwykle mowy: najpierw przemówił Władimir Iwkiwicz — przewodniczący jugosłowiańskiego komitetu organizacyjnego, następnie przewodniczący Międzynarodowej Federacji Lekkoatletycznej lord Burghley, z kolei marsz. Tito, zaśpiewał także chór, wypuszczono gołębie, wciągnięto na maszty chorągwie, długodystansowiec jugosłowiański Mihalic złożył przysięgę w imieniu wszystkich zawodników i odegrano jugosłowiański hymn narodowy. Wszystkie te ceremonie odbyły się w pięknej pogodzie i trwały zaledwie 50 minut.

Oto pełne wyniki:
100 m przedbiegi — w drugiej serii wygrał Foik (Polska) 10,3 sek. W trzeciej serii Zieliński (P) 10,6 i zajął trzecie miejsce, kwalifikując się także do półfinału. W czwartej serii przedbiegów eliminacyjnych Juškowiak (P) zajął drugie miejsce 10,4 sek. Tak więc miała Polska w półfinale wszystkich trzech swoich reprezentantów. Niezły początek! W półfinale (do finału kwalifikowali się tylko dwaj pierwsi biegacze): w drugiej serii Foik (P) był drugi 10,4 sek. a Juszkowiak w trzeciej serii zajął pierwsze miejsce 10,4 sek. W serii Foika biegał także Zieliński (P), który zajął dopiero czwarte miejsce. Mieliśmy więc w finale setki aż dwóch Polaków, co było niewątpliwie wielkim sukcesem (poza dwoma

Francuzami i dwoma Rosjaninami). Finał był dla Polski fatalny. 1. Piqueml (Francja) 10,4 sek. 2. Delecour (Francja) 10,4 sek. 3. Gamper (Niemcy) 10,4 sek. 4. Hebauf (Niemcy) i Juszkowiak (P) po 10,4 sek. 6. Foik (P) 10,5 sek. Jak widzimy pierwsza piątka miała ten sam czas. O miejscach decydował fotofinisz.

400 m przedbiegi: w pierwszej serii Kowalski (P) 49,8 sek. 1-1 trzeci i wszedł do półfinału. W czwartej serii Badański (P) był drugi 47,0 sek. W półfinałach tylko Badański zakwalifikował się do finału, zajmując szóste miejsce 47,4 sek. Zwyciężył w porównywalnym stylu Brightwell (Anglia) 45,9 sek. przed Kinder (Niemcy) 46,1 sek. i Reske (Niemcy).

Pierwszy złoty medal zdobyty został w Belgradzie w chodzie na 20 km (a nie w marszu, jak to w bardzo niefachowym sprawozdaniu audycji polskiej BBC podawano) przez Anglików zaraz pierwszego dnia zawodów. Zdobył go Matthews 1 godz. 35 min. 54,8 sek. — Klasą dla siebie był rekordzista świata na 10,000 m Bołotnikow (ZSRR), który w Belgradzie raz jeszcze i określił bezapelacyjną wyższość. Prowadził cały czas, choć trzymał się go Niemiec Jahnke. Bołotnikow niemal w szpurcie dobiegł do mety demonstrując formę, jakiej nie często się widzi na tym dystansie. Czas Bołotnikowa 28:54,0 min. W tej konkurencji zawiódł nieco Anglik Hyman, który zajął czwarte miejsce.

W przedbiegach 400 m płotki w drugiej serii biegł Kumiszczew (P), zajmując piąte miejsce 52,6 sek. odpadając tym samym z dalszych walk. W finale wygrał Morale (Włochy) 49,2 wyrównując rekord świata.

W walce o wejście do finału w trójskoku (minimum 15,50 m) zakwalifikowali się Schmidt (P) 15,98 m i Jaskólski (P) 15,86 m. W finale zwyciężył Schmidt (P) powtarzając swój sukces ze Sztokholmu i z Olimpiady w Rzymie. Wynik Polaka: 16,55 m. 2. Gorajew (ZSRR) 16,39 m. 3. Fedosjew (ZSRR) 16,24 m. 4. Jaskólski (P) 16,02 m. 4. Jovic (Jugosławia) 15,68 m. 6. Einarsson (Islandia) 15,62 m.

W dysku zakwalifikował się do finału z Polaków jedynie Piątkowski 55,79 m. (minimum 53 m), oraz 11 innych zawodników. Finał: 1. Trusseniew (ZSRR) 57,11 m. 2. Koch (Niemcy) 55,96 m. 3. Milde (Niemcy) 55,47 m. 4. Piątkowski (P) 55, 13 m. 5. Kompaneets (ZSRR) 54,74 m. 6. Szecsenyi (Węgry) 54,66 m. Dalekie miejsce Piątkowskiego było jedną z większych niespodzianek dla Polaków.

W biegu na 5.000 m odbyły się trzy przedbiegi. Brał w nich także udział Bołotnikow (ZSRR), który uzyskał w swojej serii świetny czas 13:53,4 min. Po biegu poprzedniego dnia na 10,000 m. i po tym biegu Bołotnikow był tak wyczerpany, iż w finale nie starczyło mu już sił. W pierwszej serii Boguszewicz (P) był drugi 14:20,0 min. a w drugiej serii przedbiegów K. Zimny był czwarty 14:15,8 min. W finale zebrała się niewątpliwie śmietanka biegaczy europejskich. Oczekiwano go w największym napięciu, przy czym Zimny uchodził właściwie za faworyta. Niestety — stało się inaczej. Wszyscy zawodnicy biegli w gromadzie i w wolnym stosunkowo tempie, szczerząc siły na sprint na ostatnich kilkuset metrach. Przez siedem okrążeń prowadził swoim zwyczajem Bołotnikow, pot. wyskoczył na czoło Zimny, wreszcie na ostatnim okrążeniu na początku ostatniej prostej wyskoczył jak strzała malutki Tulloh i w fantastycznym sprincie oderwał się od zupełnie zaskoczonych przeciwników. Zanim się zorientowano i zanim podążono w pogoń za Tullohem było już za późno, choć wyrwał ponad 20 metrów zdołał Zimny wielkim wysiłkiem zmniejszyć do 10 metrów. Prawie że istniała obawa, że Bołotnikow zabierze Zimnemu drugie miejsce, tak jak zabrał niespodziewanie Boguszewiczowi trzecie, spychając go na czwarte. To był niewątpliwie wielki bieg i wielki triumf Tulloha, który po biegu padł z wyczerpania na ziemię. Wielki jest duch w tym małym ciele.

1. Tulloh (Anglia) 14:0,6 min. 2. Zimny 14:3,3 min. 3. Bołotnikow 14:2,6 min. 4. Boguszewicz 14:3,4 min. 5. Bernard (Francja) 14:3,8 min. 6. Anderson (Anglia) 14:4,2 min.
W skoku w dal do finału zakwalifikował się W. Gawron (P), który w finale zajął piąte miejsce 7,72 m. Zwyciężył Ter-Ovanesyan (ZSRR) 8,18 m. — 800 m finał Mutuschewski (Niemcy)

1:50,5 min. — 50 km chód 1. Pamich (Włochy) 4:18,46,6 godz.

Oszczep — z Polaków do finału zakwalifikowali się: Machowina, Sidlo i Nikiciuk. Finał: 1. Loussis (ZSRR) 82,03 m. 2. Trubulenko (ZSRR), 3. Nikiciuk (P) 77,35 m. 4. Machowina (P) 77,14 m. 5. Kulscar (Węgry), 6. Lievore (Włochy). — 10-bój: 1. Kuzniecow (ZSRR) 8,026 pkt. — Tyczka do finału wszedł Gronowski (P). W finale: 1. Nikula (Finlandia) 4,79 m. 2. Tomasek (Czech.), 3. Nystrom (Finlandia).

200 m półfinały: Foik wygrał wspaniałą swoją serię 21,4 sek. wchodząc tym samym do finału, natomiast Zieliński (P) zajął w swojej serii piąte miejsce 21,5 sek. i odpadł.
Sztafeta 4x400 m. Polska miała wielkie szanse by wejść do finału. Niestety — na ostatniej zmianie zawodnik polski spuchł, Polska zajęła czwarte miejsce 3:10,2 min. za Niemcami, Francją i Szwajcarią. — W skoku wzwyż do finału zakwalifikował się F. C. nnik (P) a w młocie Ciepły (P) i Rut (P).

200 m: 1. Jonsson (Szwecja) 20,7 sek. 2. Foik (P) 20,8 sek. 3. Ottlina (ZSRR) 20,8 sek.

1.500 m: 1. Jazy (Francja) 3:40,9 min. 2. W. Baran (P) 3:42,1 min. 3. Salingier (Czech.) 3:42,2 min.

110 m pł.: 1. Michajłow (ZSRR) 13,8 sek.

3.000 m z przeszkodami: 1. Roelants (Belgia) 8:32,6 min.
Maraton: 1. Kilby (Anglia) 2 godz. 23:18,8 min.

Skok wzwyż: 1. Brumel (ZSRR) 2,20 m. 5. E. Czernik (P) 2,05 m.
Młot: 1. Zsivoczki (Węgry) 69,94 m. 5. O. Ciepły (P) 64,33 m.

Sztafeta 4x100: 1. Niemcy 39,9 sek. 2. Polska 39,5 sek. 3. Anglia 39,8 sek.
Sztafeta 4x400: 1. Niemcy 3:05,8 min.

Konkurencje pań: kula 1. Tamara Trees (ZSRR) 18,55 m wyrównując rekord świata. — W biegu na 100 m z Polek do półfinału zakwalifikowały się: H. Górecka 11,7 sek., T. Ciepła 11,8 sek. i E. Szyrkowa 12 sek. W finale zwyciężyła Hyman (Anglia) 11,3 sek. 2. Jutta Heine (Niemcy) 11,3 sek. 3. T. Ciepła (P) 11,4 sek. 4. Arden (Anglia), 5. Raepke (Niemcy), 6. Szyrkowa (P) 11,8 sek. Górecka odpadła w półfinale. — 5-bój kobiet wygrała Bystrawa (ZSRR) 4833 pkt. — 400 m: do półfinału zakwalifikowała się J. Hase (P) 55,7 sek. gdzie później przegrała. W finale wygrała Itkina (ZSRR) 53,4 sek. — Do finału w skoku wzwyż zakwalifikowała się J. Bieda (P), lecz w finale nie znalazła się w pierwszej szóstce. Wygrała Rumunka Balas 1,82 m. — W skoku w dal zakwalifikowała się do finału E. Krzesińska (P). Finał: 1. Czelnakowa (ZSRR) 6,36 m. 2. E. Krzesińska 6,22 m. 3. Rand (Anglia). Oszczep: 1. Ozolina (ZSRR) 54,92 m. 2. Diagonescu (Rum.), 3. Czastitko (ZSRR). — Pierwszy półfinał 80 m pł.: 1. Piątkowska (P) 11 sek., drugi półfinał 3. T. Ciepła (P) 11,3 sek. kwalifikując się także do finału. Odpadła H. Krzyżńska (P) zajmując piąte miejsce 11,5.

W finał na 200 m. zwyciężyła Heine (Niemcy) 23,5 sek. 2. Hyman (Anglia) 23,7 sek. 3. C. Sobotta (P) 23,9 sek. — W biegu na 800 m do finału zakwalifikowała się K. Nowakowska (P) 2:8,1 min. zajmując drugie miejsce w trzecim półfinale.
Dysk: 1. T. Press (ZSRR) 56,90 m. — Sztafeta 4x100 m Polki wygrały swój półfinał w czasie 45,1 sek. wchodząc tym samym do finału.
800 m.: 1. Kraan (Holandia) 2:28 min. 5. K. Nowakowska (P) 2:58 min.
80 m płotki: 1. T. Ciepła (P) 10,6 sek. 3. M. Piątkowska (P) i Fisch (Niemcy) 10, sek.

Sztafeta 4x100 m: 1. Polska (E. Szyrkowa, B. Sobotta, M. Piątkowska, T. Ciepła) 44,5 sek. 2. Niemcy 44,6 sek. 3. Anglia.
Medale zdobyli w kolejności złote, srebrne i brązowe: ZSRR 13—6—10. Anglia 5—3—6. Niemcy 4—11—8. Na czwartym miejscu Polska 3—5—5.

(p.h.)

„PRZEGLĄD ZACHODNI”

miesięcznik
Zw. Polskich Ziem Zachodnich
oświecony zagadnieniom polsko-niemieckim Ziemiom Zachodnim.
Roczna prenumerata 18/- lub 3 dolary
ZWIĄZEK
POLSKICH ZIEM ZACHODNICH
20 Princes Gate, London, S. W. 7.

BILETY

KOLEJOWE, SAMOLOTOWE,
OKRĘTOWE

Formalności związane ze
sprowadzeniem rodzin z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.
Szybko, sprawnie, tanio
załatwia

TAZAB TRAVEL Ltd

273, Old Brompton Road,
LONDON, S. W. 5.
Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.
Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 4
63, Dale End, Tel. Central 6260

MATERIAŁY, LEKARSTWA, ŻYWNOSĆ najszybciej, najkorzystniej, najlepiej

wyślesz przez

P. C. STORES

S. BREWKA

18, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7.

Tel.: KNI 0747

Rozmowa nie kleiła się. Jedną Marysia mówiła dużo i z ożywieniem. Kate odzywała się tylko wtedy, gdy ktoś się do niej zwrócił. Marek słuchał. Ze słów Marysi wynikało, że stosunkowo niewiele zarabiając, można było tu żyć zupełnie znośnie; kino, teatr, kawiarnia ciągle powtarzały się w jej opowiadaniach. Może rzeczywiście nie będzie tak źle?

Wraz z otuchą poczuł silny głód, przypominający mu, że od południa nic nie jadł. Wstał i zaczął się żegnać. Marysia była wyraźnie rozczarowana:

— Dlaczego tak wcześnie? Autobusy chodzą i po jedenastej. Przecież się z nikim nie umówiłeś?

Marek chętnie by został, ale krępował się wobec Perczyńskiej przyznać do prawdziwego powodu swego pośpiechu. Usprawiedliwił się zmęczeniem, poinformował się o numer autobusu, którym powinien wracać do domu i wyszedł, przyrzekając powrócić w ciągu najbliższych kilku dni.

Na ulicy mżył drobny, niewyraźny deszcz. Marek postawił kolumnę u płaszcza i poszedł w stronę przystanku. „Marysia miła dziewczynka — pomyślał. — Ale ta druga to zaraza!”

IV.

Życie Marka nie ułożyło się tak łatwo, jakby to wynikało z opowiadań Marysi o warunkach emigracyjnego bytowania. Z tym, że musiał pracować jako niewykwalifikowany robotnik wobec braku znajomości języka, pogodził się łatwo. Ale praca na nocnej zmianie dawała mu się mocno we znaki. Nie mógł się przyzwyczaić do sypania rankami i cierpiał na chroniczną senność, którą specjalnie dotkliwie odczuwał w czasie wieczornych kursów języka angielskiego, na które z uporem uczęszczał.

Stosunki w fabryce przetworów mięsnych, w której pracował wraz z dziesiątkiem innych Polaków, nie były przyjemne. Tubylcy unikali pracy nocnej, jak ognia, tak że fabryka w godzinach nocnych zdana była na łaskę pół tuzina Polaków. Przeważnie byli to inteligenci, bardzo dotkliwie odczuwający zmianę zawodu i bardzo z tego powodu wrogo nastawieni do gospodarzy. Marek z pewnym oszołomieniem przysłuchiwał się ich dyskusjom, najwyraźniej podtrzymującym jego przeświadczenie o nieuchronnym postępie komunizmu.

Czegoż on się tam nie dowiedział! Anglicy — to oszuści i wyzyskiwacze, pragnący każdą brudną robotę wykonać cudzymi rękami i na cudzy koszt; ale oto zbliża się godzina porachunku dziejowego, imperium, z którego dotychczas żyli, rozpada się w kawałki i niedługo będą musieli zebrać o kawałek łaskawego chleba u Amerykanów. Amerykanie — to skończeni durnie, naiwniacy, którzy przegapili najlepszy moment do wykończenia Rosji, a teraz chcą za wszelką cenę przedłużyć pokój aż do chwili, kiedy Rosja zdobędzie zdecydowaną przewagę w zbrojeniach. Francuzi — to podupadły moralnie i fizycznie naród, w którym nawet iskry dawnej wielkości nie pozostało. Niemcy — to wszystko hitlerowcy, tylko czekający na okazję, aby się z Rosją dogadać i przy jej pomocy wziąć odwet na Zachodzie. I tak dalej, i tak dalej.

Marek słuchał — i zdumiewał się. Jeżeli ci ludzie są takiego zdania o Zachodzie, po kiego licha tu zostali? Na co liczą? Czego się spodziewają? Gdy raz o to zapytał

Stefan Wóycicki

Ziemia przeznaczona

Powieść

sąsiada pracy, Sieńskiego, byłego prokuratora ze wschodnich ziem Polski, ten uśmiechnął się ironicznie i odpowiedział:

— Drogi panie, większość z nas liczy po prostu na cud Boski. Za starzy jesteście, żeby się pożegnać z niesprawdzonymi marzeniami. Żyliście tu w oczekiwaniu, że lada tydzień, lada miesiąc wrócimy do Kraju, że tu nie ma po co przystosowywać się do tej chwilowej rzeczywistości. Tymczasem z miesiąca robiły się lata, z lat robią się dziesiątki, a my pozostaliśmy jak rozbitkowie na bezludnej wyspie, z goryczą w sercu, że spodziewane okręty ani rusz nie chcą nadpłynąć. Cóż dziwnego, że psiojemy na tych, po których się tyle spodziewaliśmy.

— To brzmi dosyć beznadziejnie — zauważył Marek. Sieński zaprotestował łagodnie:

— Mniej, niż się panu wydaje. Ostatecznie, nam już tylko nadzieja pozostała. Inni, rozsądniejsi, czy też mniej od nas romantycznie na życie patrzący, urządzili się tu jakoś na obraz i podobieństwo normalnego, ludzkiego życia. A my zostaliśmy beznadziejnie w tyle i ciągle tylko żyjemy nadzieją.

— No, ale z tego, co panowie mówicie, jasno wynika, że w razie wojny szanse będą wyraźnie po tamtej stronie. Sieński oburzył się:

— Co też pan wygaduje! Pan ma pojęcie, co to za potęga przemysł amerykański? Jak już przyjdzie co do czego, to oni Mochom pokażą! I Anglicy się też na coś przydadzą. Ba, żeby tylko do czego przyszło!

Tego rodzaju argumentacja nie trafiała Markowi do przekonania. „Kuku na muniu!” — zakonkludował. — Tęsknota za dobrymi posadami we łbach im poprzewracała!” — i ze znacznie mniejszym zainteresowaniem przysłuchiwał się wywodom towarzyszy pracy.

Z Marysią widywał się znacznie rzadziej, niż to sobie przedtem obiecywał. Przy obecnej późnojesiennej pogodzie, niespostrzeżenie przechodzącej w rozchlaną zimę, trudno było się z nią spotykać na mieście, a gdy wpadł do niej do domu, zawsze natykał się na nieodstępną Kasię, nieprzychylną, sztywną i w dużych, brzydkich okularach. Nie czuł też w Marysi serdecznej życzliwości, jakiej łaknął. Kilka razy odmówiła spotkania się z nim bez podania powodów, obojętnie i od niechcenia.

Marek zbyt wiele wysiłku musiał wkładać w budowanie swego nowego życia, aby miał czas i ochotę na analizowanie swoich byłych i obecnych uczuć do Marysi, ale była ona jedyną w tym obcym świecie bliższą mu osobą. Odczuł jej obojętność bardzo boleśnie i postanowił unikać nawet pozorów narzucania swej obecności, poświęcając swe wolne wieczory na naukę słówek angielskich. Skoro ona nie może znaleźć dla niego chwili czasu — obojętnie się bez jej łaski!

Pozostawiony samemu sobie, Marek wrażał coraz silniej w życie domu przy Bromwood Street. Gospodarz od wiedział go często i prowadził z nim długie dyskusje na te-

6) mat życia w Kraju i nieuchronności przyszłej rychłej wojny. Tok rozumowania dzielnego majora bardzo przypominał Markowi rozmowy towarzyszy pracy i, szczerze mówiąc, nudziło go to bardzo. Pani majorowa również zaszczyciła go swoją obecnością, usiłując wydobyć z niego jakiegokolwiek informacje co do swojej rodziny, zamieszkałej przed wojną w Sosnowcu. Gdy jednak Marek stwierdził, że w Sosnowcu w życiu nie był, a nazwiska panińskiego gospodyni nigdy nie słyszał, pani Sroczyńska przestała się nim zupełnie interesować.

Inni mieszkańcy domu przy ulicy Bromwood stanowili bardzo mieszaną grupę. W sąsiednim pokoju po lewej stronie mieszkał Mr. Stray, nader sympatyczny Murzyn z Jamajki, który przybył do Londynu na studia, a po stracie stypendium, na skutek braku postępów w nauce, pracował jako członek orkiestry jazzowej w nocnym klubie w West-Endzie. Marek spotykał go często na schodach, ale poprzestawał na wymianie życzliwych uśmiechów ze względu na słabą znajomość angielskiego.

Po prawej stronie mieszkał Stankonowicz, młody, szczupły uchodźca jugosłowiański o smutnych oczach i łagodnym uśmiechu. Wydał się on Markowi bardzo sympatyczny, ale unikał towarzystwa i po za wymianą zdawkowych opinii o pogodzie nie ich ze sobą nie łączyło.

Niższe piętro zajmowali Polacy. W pojedynczym pokoju mieszkała panna Zenia (Zenobia?) Poleska, miła dziewczątka o blond włoskach i szeroko w szczerem zdumieniu otwartych błękitnych oczach. Sąsiedni pokój z kuchnią zajmowała para małżeńska Kleszczów. On, pełen godności łysawy pan powyżej czterdziestki, ona, o dobre piętnaście lat młodsza Angielka. Pan Stanisław — tak bowiem brzmiało imię Kleszcza — drugiego wieczoru po sprowadzeniu się Marka odwiedził go i prowadził z nim długą i wysoce kulturalną rozmowę, polegającą głównie na zaznajamianiu Marka ze swą przedwojenną karierą ministerialną, z pochodzeniem i koneksjami starożytnego roku Kleszczów, ze swymi studiami akademickimi i rozrywkami w gronie złotej młodzieży warszawskiej i z równie znakomitym rodem, z którego wywodzi się jego małżonka, Daisy.

Wizyta zakończyła się zaproszeniem Marka o piętro niżej, gdzie Daisy Kleszcz, wysoka i przystojna blondynka o nieskończone długich nogach, ofiarowała gościowi tradycyjny puchar ambrozji: „cup of tea”. Od tego czasu Kleszcz nader często wpadał do Marka, pożyczając to zapalki, to papierosy, to szylinga na gas, to wreszcie pisma polskie, które Marek systematycznie kupował. Trzeba oddać Kleszczowi sprawiedliwość, że chociaż nigdy się nie splamiał zwracaniem pożyczonych przedmiotów, ale często zapraszał Marka na dół na herbatę, co dawało gościowi znakomitą okazję praktykowania swojej kulawej angielszczyzny na cierpliwej Daisy.

Na parterze mieszkali sami gospodarze, a w dwóch pokojach suteryny mieścili się trzej robotnicy irlandzcy. Sroka odgrażał się stale, że ich wyrzuci, ponieważ regularnie co sobotę wracali dokładnie urzędnicy, śpiewając na całe gardło irlandzkie piosenki i ciężko pytykając się na schodach; ponieważ jednak płacili regularnie i nie urządzali poważniejszych awantur — oprócz zapisanego w kronikach domowych zamachu na cnotę panny Zeni, którą jeden z nich po pijanemu ścigał bez wyniku po schodach — więc groźby Sroki nie były wprowadzane w czyn.

(Ciąg dalszy nastąpi)

KRONIKA WOJSKOWA

NIEMCY WSCHODNIE. Otoczenie zachodniego Berlina „murem Ulbrichta” i wzmocnienie przeszkód wzdłuż zachodniej granicy umożliwiło reżimowi komunistycznemu wprowadzenie obowiązkowej służby wojskowej. Ustawa weszła w życie 24. 1. i już 5. 2. zarządzone rejestracje i przeglądy lekarskie roczników 1940 do 1943. Nie wiadomo jak jest obecnie stan liczebny wschodnio-niemieckich sił zbrojnych zwanych „Nationale Volksarmee”. Wiadomo jedynie, że w związku z zeszłorocznym kryzysem berlińskim wzrosły one z około 110.000 do około 200.000 i to przy pomocy powołania rezerwistów i podporządkowania „Grenzschutzu”, liczącego ponad 45.000 oficerów i szeregowych. Na początku b.r. stan liczebny wojska lądowego wynosił, podług oficjalnych źródeł zachodnio-niemieckich, 176.000, lotnictwa blisko 18.000 a marynarki wojennej 14.000.

Obszar NRD jest podzielony na dwa okręgi armijne: północny, w którym prócz oddziałów sowieckich stacjonuje 5. armia, i południowy, w którym bok oddziałów sowieckich rozmieszczona jest 3. armia wschodnio-niemiecka. Prowadzą 3 armii jest generał major Ernst, z m.p. w Lipsku. W skład jej wchodzi: 4 zmotoryzowana dywizja strzelców w Erfurcie, 11 zmotoryzowana dywizja strzelców w Halle i 9 dywizja pancerna w Dreźnie.

Dowodzą 5 armii jest generał major Bleck, mający swoje m.p. w Neubrandenburg. Armia ta składa się z 1 dywizji strzelców w Poczdamie, 8: 10t. dywizji strzelców w Schwerin i 9 dywizji w Eggesin na północ Berlina. Bezpośrednio ministerstwu obrony podlegają

2 pułki pionierów, pułk wartowniczy i oddziały łączności, transportowe, zapasowe i t.d. „Grenzschutz” składa się z 8 brygad.

Ministrowi spraw wewnętrznych podlega prócz elitarnego „Bereitschaftspolizei”, (10 pułków, około 30.000 oficerów i szeregowych) posiadającej sporo sprzętu pancernego i artyleryjskiego, także „Volkspolizei”, obejmująca też policję transportową i liczącą około 78.000 milicjantów. „Vopo”, podzielona jest na 14 obwodów. Na czele stoi gen. Winkelmann.

Istnieją też t.zw. „fabryczne grupy bojowe”, „Kampfgruppen”, których stan sięga podobno 350.000. Posiadają one broń ręczną zdeponowaną na miejscu. Ponadto istnieje bardzo rozgałęzione przysposobienie wojskowe, organizowane przez t.zw. „Gesellschaft für Sport und Technik” a obejmujące m.in. około 60.000 kobiet, szkolących się we władaniu bronią ręczną.

Uzbrojenie oddziałów wojskowych jest niemal wyłącznie sowieckie i na ogół bardzo dobre. Gorzej przedstawia się rzekomo poziom wykształcenia, mimo bardzo rozbudowanego szkolnictwa, a jeszcze gorzej „morale”. W pierwszym półroczu 1962 uciekło w sumie do Niemiec Zachodnich 332 żołnierzy, przeważnie z „Grenzschutzu” a w kilku garnizonach w Turynii doszło przed kilku tygodniami do krótkotrwałych buntów. Przymusowy pobór rekruta powinien nastąpić pogorszyć.

Lotnictwo składa się, podług francuskiej „Revue de Defence Nationale” z 4 „dywizji” lotniczych, 1 dywizji przeciwlotniczej i 2 baonów radarowych i posiada rzekomo już około 870 samolo-

tów i helikopterów. Gros eskadr lotniczych stacjonuje w pobliżu Śląska w rejonie Chociebuż — Kamienica — Bużyszyn.

Siły morskie, których dowództwo mieści się w Rostocku, mają główne bazy w Sasnitz na Rugii oraz w Warnemünde i Peenemünde. Składają się narazie, poza kilkoma eskorterami klasy „Ryga”, wyłącznie z małych, przybrzeżnych jednostek. W budowie jest rzekomo 7 eskorterów po 1.500 ton i 2 fregaty, ię mówią o ścigaczach okrętów podwodnych i jednostkach desantowych. Raz po raz powtarza się pogłoska, że ma dojść 5 sowieckich niszczycieli klasy „Skoryj” i 12 małych okrętów podwodnych klasy „MW”.

O powiększaniu sił zbrojnych NRD świadczy m.in. fakt, że ich tegoroczny oficjalny preliminarz budżetowy jest niemal trzykrotnie większy od ze złorocznego, zamiast 1.020 milionów — 2.764 milionów marek wschodnich.

Ministrem obrony jest stary komunista, gen. Hoffmann, który w 1953 roku uciekł do Rosji i tam ukończył akademię wojskową Frunzego. Jego zastępcą, gen. Vincenz Müller, który dowodził kiedyś 4 armią hitlerowską, popełnił samobójstwo. Kage

**BILETY,
SPROWADZANIE RODZIN
Z POLSKI**
**ANGLOPOL
TRAVEL**
Tel F.R.E. 1155
121, Earls Court Rd., London, S.W.5.

Stałym dążeniem Sowietów jest opanowanie całego świata i zniszczenie dotychczasowego sposobu bycia wolnego człowieka.

Ale imperializm sowiecki od samego początku natknął się na zdecydowany opór narodu polskiego. Toteż złamanie tego oporu za wszelką cenę stało się bezpośrednim celem bolszewizmu. W swym rozkazie z 4 lipca 1920 roku Tuchaczewskij cynicznie zapowiada, że „po trupie Polski wiedzie droga do ogólnego wszechświatowego pożaru”.

Wiekopomne zwycięstwo polskiego oręża u bram Warszawy w sierpniu 1920 roku, zażegnało niebezpieczeństwo sowieckiego komunizmu niestety zaledwie na lat dwadzieścia. Już bowiem w dniu 17 września 1939 roku, zdradzieckim uderzeniem na Polskę zmagającą się z nawałą hitlerowską — Sowiety na nowo podejmują swój pochód na podbój świata. I odtąd pochód ten trwa nieprzerwanie do dnia dzisiejszego.

Przypomnieniu tej złowrożej daty 17 września 1939 roku i jej późniejszych skutków poświęcone zostanie

WIELKIE ZEBRANIE PUBLICZNE

które odbędzie się w sobotę, 22 września br. w Domu Kombatanta w Paryżu (20, rue Legendre). Początek punktualnie o godz. 17-ej.

PROGRAM :

Min. Aleksander Demidecki, prezes Rady Wolnych Polaków we Francji — zagajenie i słowo wstępne.
Dr. Stanisław Paczyński, wiceprezes Rady Wolnych Polaków we Francji, będzie mówił o Sowietach w marszu na podbój świata.
Ks. red. Alfons Stopa, członek Prezydium Rady Wolnych Polaków we Francji przedstawi tragizm Katynia. — Po czym zostanie wyświetlony dokumentalny film z komentarzem p. Katynia.

Następnego dnia, w niedzielę, 23 września br. o godz. 11-ej w Kościele Polskim w Paryżu, zostanie odprawiona msza św. na intencję ofiar zbrodni katyńskiej.

O liczny udział Rodaków w zebraniu i w nabożeństwie prosi

Rada Wolnych Polaków we Francji

P.S. Podobne zebrania odbędą się jeszcze w ciągu roku bieżącego we Francji północnej, wschodniej i środkowej. Dokładne miejsca zebrań i ich daty zostaną podane później.

SEZON JESIENNY ZAPOWIADA SIĘ BURZLIWIE

(Dokończenie ze str. 1)

Stanów Zj. stało się faktem, którego doniosłość trudno jest nawet rządowi Kennedy'ego, starającego się o uspokojenie opinii, obniżyć i pomniejszać.

Publicyści amerykańscy dopatrują się ponadto związku pomiędzy nasileniem pomocy moskiewskiej dla Kuby, a równoczesnym prawie podczas lata wznowieniem nacisku na Berlin. Zdaniem ich, podobnie jak w jesieni 1956 r. przez stworzenie propagandowo - dyplomatycznego związku między sprawą Suez a Węgrami, Sowiety ułatwiły sobie krwawe stłumienie powstania węgierskiego, tak obecnie ma im się przysłużyć równoczesność kryzysów, berlińskiego i kubańskiego. Zaszachowany przez Kubę, Waszyngton — według rachub Kremla — miał by słabiej reagować w Berlinie i na odwrót, w obawie o Berlin — nie znalazł by dość śmiałości do likwidacji sowieckiej bazy kubańskiej. Poza tym, zajęty wyborami rząd Kennedy'ego, może się nie zdobyć na wystarczającą czujność wobec obu tych zagrożeń.

Poruszenie amerykańskiej opinii sprawą Kuby i Berlina jest tym bardziej zrozumiałe, że w jej świetle wychodzi jaskrawo błędność całej polityki światowej, jaką Stany Zj. prowadziły od zakończenia wojny w stosunku do imperium Moskwy. Sowiecka baza na zachodniej półkuli i tuż u brzegów Ameryki, to katastrofa i kompromitacja containmentu, czyli jedynie powstrzymywania ekspansji sowieckiej, która była od Jałty myślą przewodnią i kamieniem mądrości politycznej Waszyngtonu. Jest to koncepcja statyczna i defensywna, a kto nie idzie naprzód, ten będzie się cofał, jak poucza stare doświadczenie i co potwierdza się tragicznie również w dzisiejszej sytuacji światowej.

ONZ — STRAZ POŻARNA, GOTOWA DO UKŁADÓW Z OGNIEM

Sekretarz ONZ U-Thant z okazji otwarcia 17 sesji jej Ogólnego Zebrania w Nowym Jorku objawił gotowość do mediacji w konfliktach między Stanami Zj. a Rosją Sowiecką. Mogło by to wróżyć jedynie nowe ustępstwo wobec tej ostatniej, ponieważ kompromis między atakującym a broniącym się zawsze na tym polega. Takie neutralistyczne mediacje, to zresztą normalna rola ONZ, której działalność poddał znowu surowej krytyce lord Avon, czyli b. premier A. Eden w artykule na łamach amerykańskiego kwartalnika „Foreign Affairs”. Zarzuca on nowojorskiej organizacji, że nie spełniła swojej statutowej roli pilnowania prawa i międzynarodowego porządku, że było za dużo neutralizmu w stosunku do powstających konfliktów, „za dużo układów między strażą pożarną a ogniem”.

Głos lorda Avon jest wyrazem rozpowszechnionego krytycyzmu i upadającego autorytetu ONZ, której egzamin mądrości politycznej w Kongo najbardziej chyba zaszkodził.

W rocznicę śmierci Daga Hammarskjölda obszar ten nie jest dalej uporządkowany, a nawet grożą nowe walki zbrojne „pokojujowej” ONZ z Katangą jedynie zorganizowaną a prozachodnią częścią dawnej kolonii belgijskiej. Pożytek ONZ na przyszłość jest pod tym większym znakiem pytania, że przewidywane w galopującym tempie nowe państwa ekskolonialne stają się elementem nieobliczalnym, szczególnie podatnym przeważnie na demagogię sowiecką. ONZ liczy już 104 członków, czyli około dwa razy więcej niż przy założeniu, a cztery nowe państwa zostały teraz przyjęte, po czym przyjdą dalsze. Obecna sesja rozpoczyna się przy uczestnictwie jedynie sowieckiego ministra spraw zagranicznych i większe sensacje spodziewane są raczej później. Istnieje przypuszczenie, że zjawi się — jak przed dwoma laty — Chruszczow, aby wprowadzić na arenę ONZ sprawę Berlina i Kuby.

WSPÓLNY RYNEK, W. BRYTANIA I COMMONWEALTH

Konferencja premierów Brytyjskiej Wspólnoty Narodów skończyła się rezultatem, który oznacza, że konserwatywny rząd londyński w razie alternatywy między Commonwealth'em a zach. Europą wybierze tę drugą i że związał swój los z tą decyzją, energicznie bronią przed forum konferencji oświadczenie przez Macmillana. Inni premierzy, z kanadyjskim Diefenbakerem ze względów gospodarczych oraz indyjskim Nehru — z przyczyn politycznych — na czele wystąpili przeciwko decyzji lon-

dyńskiej, ale nie zachwiało to postanowieniem rządu brytyjskiej macierzy.

Z końcowego oświadczenia Macmillana wynika, że W. Brytania będzie kontynuowała rokowania brukselskie i nie uzależni przystąpienia do Wspólnego Rynku od zastrzeżeń Commonwealth'u. Będzie się zaledwie starała o uwzględnienie ich zastrzeżeń w zakresie: ekspansji handlu światowego, lepszej organizacji światowego rynku produktów żywnościowych, finansowej pomocy dla krajów niedorozwiniętych oraz użytkowania nadwyżek rolniczych dla pomocy potrzebującym.

Po stanowczej decyzji wprowadzenia W. Brytanii do Wspólnego Rynku ujawnionej przez rząd Macmillana nastąpiło — normalne w takich wypadkach — sprecyzowanie stanowiska opozycji w kierunku przeciwnym. Przywódca jej H. Gaitskell oświadczył, że Labour Party jest przeciw przystępowaniu do Wspólnego Rynku na obecnych, przyjętych już przez rząd Macmillana warunkach. Istnieje problem, jak daleko pójdzie socjalistyczna opozycja w swoim oponowaniu. Wysuwane są sugestie, aby przed ostatecznym zapadnięciem klamki nastąpiło jeszcze rozpisanie wyborów oraz pogroźki, że — o ile do tego nie dojdzie — Labour Party ogłosi, że po ewentualnym dojściu do władzy nie będzie się czuła związana konserwatywnym układem. Nie jest to jednak prawdopodobne i zależeć będzie od rozmaitych przyszłych okoliczności, jak przede wszystkim jesienne wyniki wyborów uzupełniających. Z S.

PRZED NOWYM REFERENDUM

(Dokończenie ze str. 1)

odnośnie ewentualnej dyktatury prawniczej. Prawica we Francji jest bowiem tak rozbita, że praktycznie biorąc nie przedstawia żadnej politycznej siły.

Jest jednak inna groźba. I to bardzo poważna. Groźba nowego „frontu ludowego”. Komuniści we Francji wciąż są bardzo silni, a razem z komunistyczną „zjednoczoną partią socjalistyczną” dysponują około 30 procent wyborców. Gdyby nie mądra i przewidująca taktyka Guy Molleta, już dziś najprawdopodobniej byłibyśmy świadkami narodzin takiego „frontu ludowego”, kierowanego oczywiście przez Moskwę. Ostatnio padły w prasie francuskiej bardzo poważne pod tym względem ostrzeżenia. Zdaniem wielu, szaleństwem jest powierzanie wyboru prezydenta Republiki ogółowi wyborców, gdy narodowe siły polityczne są w proszku, gdy jedną trzecią tych wyborców stanowi pięta sowiecka kolumna. Zwłaszcza że ten prezydent będzie miał władzę praktycznie nieograniczoną, że będzie mógł zrobić wszystko z wyjątkiem — że użyje słów Michel D bré — zmiany samca w samice.

Gen. de Gaulle nie chce, by po-

nim nastąpił we Francji nawrót do IV Republiki, do dawnych gierok politycznych, do chaosu i jesieli. Ale z pewnością nie chce on także utorać drogi do władzy nowemu „frontowi ludowemu”. Czy mu się uda wykonać to podwójne zadanie? Tylko przyszłość da nam na to pytanie wyczerpującą odpowiedź.

Stanisław Paczyński

KRONIKA TYGODNIA

12 września

Na konferencji premierów Brytyjskiej Wspólnoty Narodów w Londynie przedstawiciele państw afrykańskich — z wyjątkiem Rodezji — wypowiedzieli się przeciwko przystąpieniu W. Brytanii do Europejskiego Wspólnego Rynku.

13 września

37-letni urzędnik admiralicji brytyjskiej w Londynie aresztowany został pod zarzutem wydawania sekretów państwowych obcemu państwu.

14 września

Jak się okazuje szpieg amerykański dr Soblen, który popełnił samobójstwo w więzieniu londyńskim w przededniu deportacji do Stanów Zjednoczonych, zażył lekarstwa, które jest wyłącznie wyrabiane w USA. Policja nie jest w

LIKWIDACJA KOMITETU WYKONAWCZEGO

UCZCZENIA PAMIĘCI MARSZ. PIŁSUDSKIEGO

W 25-lecie zgonu Marsz. Piłsudskiego zawiązany został w Londynie w dniu 4 grudnia 1959 r. specjalny Komitet, który rozwiązano na walnym zebraniu w dniu 9 lipca br. Na zebraniu tym sekretarz Komitetu ppłk dypl. W. Chocianowicz złożył obszerny sprawozdanie z działalności Komitetu. Sprawozdanie to podajemy poniżej w streszczeniu.

Myśl uczczenia Pamięci J. Piłsudskiego w przypadającą 25 rocznicę J-go zgonu powstała w Kole 1. Dyw. Piech. Leg. J.P., które postanowiło rozszerzyć tę akcję na całą społeczność żołnierską, zwracając się do niej przez Instytut J. Piłsudskiego w Londynie.

Na zaproszenie Instytutu odbyło się dnia 4 grudnia 1959 r. w Londynie zebranie przedstawicieli organizacji społeczno-żołnierskich, którzy pod przewodnictwem gen. R. Odzierżyńskiego zawiązali Ogólny Komitet Uczczenia Pamięci Marszałka, wybierając Komitet Wykonawczy z gen. St. Skwarczyńskim i Komisję Rewizyjną z gen. J. Głuchowskim na czele. W skład Komitetu weszło 67 stowarzyszeń, związków i Kół Oddziałowych.

Komitet Wykonawczy zebrał się na pierwsze posiedzenie w dniu 17 grudnia 1959 r., na którym ustalili program pracy i formy organizacyjne, tworząc sześć Komisji oraz kooptując szereg osób do swego grona.

Komitet zwrócił się do wszystkich organizacji wchodzących w skład Komitetu Ogólnego z prośbą o składki na ten cel. W konsekwencji strona finansowa Komitetu przedstawiała się jak poniżej:

A. Wpływy: Składki wpłacone przez poszczególne Kola oraz indywidualnych ofiarodawców — £593.07.03. Wpływy z poszczególnych Komisji, tytułem opłat za wstęp na akademie, polskie filmowe, sprzedaż wydawnictw etc. — £447.05.08.

Razem — £1042.12.11.

B. Wydatki: Komisja wydawnicza — £425.12.02, kom. londyńska — £223.2.10, kom. młodzieżowa — £32.10.00, kom. prasowa — £53.09.08, kom. filmowa — £145.00.00, 'ysunki Czermańskiego — £65.12.00, Wydatki sekretariatu — £50.02.00, wydatki skarbnika — £9.12.9.

Razem — £1005.15.05. Saldo kasowe — £34.17.06.

Zgodność powyższych danych stwierdziła Komisja Rewizyjna.

Komitet wyszedł z założenia, że jedną z form uczczenia Marszałka będą wydawnictwa:

- 1. „W ćwierćwiecze zgonu” w nakładzie 1.500 egz. wydane kosztem £210.04.07.
- 2. „Kazimierz Sosnkowski o Józefie

stanie ustalić w jaki sposób dostało się ono do rąk Soblena.

Brytyjski minister obrony, Thorneycroft, oświadczył, iż w razie potrzeby W. Brytania jest w stanie podwoić swoje siły obronne w Niemczech zach, w ciągu 7 dni.

15 września

Prez. Pakistanu, Ayub Khan, wyjechał z Londynu do Paryża, gdzie konferował z prez. de Gaulle w sprawie Wspólnego Rynku. Ayub Khan wyraził opinię, iż przed ostatecznym wejściem W. Brytanii do Wspólnego Rynku konieczna będzie jeszcze jedna konferencja premierów Wspólnoty Narodów.

16 września

Król Saudi Arabii oświadczył, iż nie przyjął warunków na zasadzie których Rosja Sow. chciała zaopatrzyć jego kraj w broń.

Piłsudskim” — w nakładzie 1.000 egz. za kwotę £145.04.03.

3. „Ich młode lata” pióra p. J. Otwirowskiej z przeznaczeniem dla mł. dzie. Udział Komitetu wyraził się, oprócz uwag Komisji Redakcyjnej, sumą £100.00.00 jako subsydium zwrotne w zasadzie po rozsprzedaniu „układu.

4. Zostały wydane teki Czermańskiego o J. Piłsudskim. Każda zawierająca 16 planz, z czego trzy zostały specjalnie zrobione przez artystę. Nakład wyniósł 500 egz. Komitet subwencjonował to wydawnictwo w formie zakupu 125 egz. za cenę £65.12.00.

Podstawową częścią obchodu w Londynie, jak centrum naszego życia emigracyjnego, była Msza św. odprawiona w kościele Brompton Oratory w godzinie zgonu Marszałka. Szczelnie wypełnione nawy zgromadziły około 100 ludzi. Ponadto odbyły się nabożeństwa w świątyniach innych wyznań.

W dniu 15 maja urządzono uroczystą akademię w St. Pancrass Hall, na program której złożyły się: słowo rocznicowe dr. Z. Nowakowskiego, film dokumentacyjny z życia i pogrzebu Marszałka oraz koncert fortepianowy prof. Z. Dygata. Obecnych na akademii 1400 osób.

Komitet wciągnął do pracy dwie grupy młodzieżowe: ZHP i BKM Pogon. Członkowie tych organizacji brali czynny udział w Komitetach lokalnych. Niezależnie od tego zorganizowano w dniu 29 maja 1960 r. w Londynie wieczór dla młodzieży. Wieczór zorganizowany był staraniem młodzieży, przez samą młodzież i przeznaczony dla młodzieży. Zaliczyć go należy do najbardziej udanych imprez tego rodzaju.

Komitet Wykonawczy rozszerzył swą działalność na wszystkie ośrodki polskie w wolnym świecie. W rezultacie powstały 24 lokalne Komitety w Wielkiej Brytanii, 2 we Francji, 2 w Belgii, 2 w Szwecji, 3 w Szwajcarii, po jednym w Niemczech, Danii, Hiszpanii.

Poza Europą zorganizowano Komitety: 4 w Ameryce Północnej, 2 w Kanadzie, 1 w Argentynie, 2 w Australii, 2 w Nowej Zelandii.

Instytut J. Piłsudskiego w Londynie udostępnił Komitetowi dokumentacyjny film z życia i pogrzebu Marszałka. Film ten został poraz pierwszy wyświetlony w Londynie podczas obchodu w dniu 15 maja 1960 r., stanowiąc istotną część uroczystości. Wobec wielkiego wrażenia, jakie ten film wywarł, postanowiono udostępnić go szerszej publiczności na prowincji. Komitet wydał specjalne ulotki, afisze i zorganizował wysyłkę filmu na prowincję. W Londynie film ten był wyświetlany siedmiokrotnie, a na terenie W. Brytanii w 48 miejscowościach.

W sumie praca Komitetu, nie poszła na marne. Społeczeństwu została przypomniana i uwypuklona postać Marszałka, Jego wskazania i nauki.

Walne zebranie członków Komitetu Ogólnego w dniu 9 lipca 1962 roku pod przewodnictwem gen. R. Odzierżyńskiego na wniosek Komisji Rewizyjnej udzieliło Komitetowi Wykonawczemu absolutorium z podziękowaniem uchwalilo rozwiązane Komitetu.

Dla ostatecznej likwidacji została wybrana Komisja Likwidacyjna w składzie: przewodniczący — gen. J. Wiater, członkowie — gen. L. Zabkowski, płk G. Łowczowski, płk T. Dąbrowski, ppłk W. Chocianowicz.

Na zakończenie Komitet O. y składa podziękowanie wszystkim, którzy swoją pracą lub najskromniejszym datkiem przyczynili się do uczczenia pamiętnych dni żałobnej rocznicy.

CENA EGZEMPLARZA: w W. Brytanii sh. 1/3. — we Francji NF 0.75. — w Austrii 1.50 Sch. — w Belgii 7 fr. b. — w Holandii 60 cent. — w Niemczech 60 Pf. — w Portugalii 3 esc. — w Szwecji 90 öre. — we Włoszech 60 ltr. — w Australii A lab 9d. — w Argentynie \$0.20 (w przeliczeniu) — w Kanadzie 20 cent. — w Stanach Zjednoczonych 20 cent. — w Szwajcarii 60 rp.

PRENUMERATA (opłata za przesyłkę lotniczą wg taryfy płatna z góry) Zamówienia i należności przyjmują: W W. BRYTANII: „Gryf” Publications Ltd. 169-171, Battersea Church Rd. London S.W.11; miesięcznie 6/- kwartalnie 16/6 rocznie £30.0. Zmiana adresu is. — W BELGII: miesięcznie frb 25; kwartalnie frb 75; Mrs J. Korab-Brzozowska-„sasky 116, rue Joseph II, Bruxelles 4; wpłacać na rachunek pocztowy: J Korab-Brzozowska-Cesky nr. 7315.20, podając swój dokładny adres. — FRANCJA: N.F.: kwart 5.00, półr 15.00 rocznie 28.00. Admin. „Syrén” 20, rue Legendre, Paris 17. Konto post.: Edit. EL KA. Paris 5507-30; „L. J. bella” Librairie 12 rue St. Louis-en-l'Île Paris IV; i konta post. Paris cc 565150. Francja Północna: inż. Eugeniusz Nuszewski, 102 rue Royale Lille (Nord) tel. 558-60. Dep. Bouches-du-Rhône, Var. Vancluse: Stefan Horodyński, Ecole des Filles La Penne sur Huveaune (Bouches-du-Rhône) — W HOLANDII: mies 1/2 kwart 5.50; wpłacać przez post.: Fr. Małeki „Palpenlaan 17, Lindendreef Geleen (L.) — W NIEMCZACH: Stanisław Mikulicz (13b) München 45, Gabelnerstrasse 7/1 — W NORWEGII: koron: mies 4 kwart 10, rocznie 36; Narvesens Kiosk Kompanii Post box 115, Oslo — W PORTUGALII: kwart 35 esc, rocz 120; A Zielński Lisboa Central Caixa Postal Nr 110 — W SZWAJCARII: fr.szw mies 2.00 kwart 5.50; Marie Wasung 6 rue des Lias Genève i Janusz Rakowski Mainaustr. 28 Zurich — W SZWECJI: koron: mies 3.60 kwart 10, rocz 12; Polski Komitet Pomocy Jungfrugatan 30/11 Stockholm — W WŁOSZACH: lirów: kwart 700; W Zahorski Associazione Combatt Po iacchi Via Ilicia 19-9 Roma; należność wpłacać przekazem pocztowym — W ARGENTYNI: prenumerata rocznie \$8.00 (w przeliczeniu); Tadeusz Dąbrowski „Libreria Polaca” Serrano 2076 Buenos Aires — W BRAZYLII: półrocznie \$4.00 rocznie \$8.00 — W AUSTRALII: „Vistula” (Australia) Pty Ltd Daking House Rawson Place Sydney; „Spotem” 64 Tapleys Hill Rd Royal Park Adelaide SA.; R Gronowski 23 Clifton Str. Richmond E.1 Vic. kwart £10.00 rocznie £315.00 — W KANADZIE: rocznie \$8.00; „Gryf” London — W PŁD. AFRYCE: kwart 16/6 rocznie — 60/-; prenumerata przyjmuje bezpośrednio „Gryf” Publications Ltd. — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: Prenumerata kwartalna: \$2.10 półroczna: \$4.00 Przedstawicielstwa: „Gryf” Publications” W Rich



Zepkimm piórem

Dodatek do nr. 38/1054 (786)

z dnia 20 września 1962

MAREK GRAMSKI

NA TEJ GRANICY — WROGA NIE BYŁO

DWADZIEŚCIA trzy lata temu, było nam bardzo ciężko i nad wyraz smutno. Przypominać ogólnie znanych wydarzeń nie ma potrzeby, ale warto pokusić się o skreślenie innego obrazka, tym bardziej że rzuci on jaśniejszy nieco promyk, na dawne i przykre wspomnienie. Znane bowiem powiedzenie, o „Polaku i Węgrze-bratanku“, okazało się w czasie tragicznego września i następujących po nim miesięcy — czekiem o solidnym pokryciu w „banku serc“, dwóch, sąsiadujących ze sobą — narodów.

Przy odbiorniku radiowym głównej strażnicy, granicznego odcinka w Klimcu, siedziała grupa polskich żołnierzy wsłuchujących się z napięciem w najslabszy choćby skrzek, wychodzący z dość prymitywnego pudła. Nie wiadomo, który już raz biło w ich uszy: — Uwaga!! Uwaga! — Nadchodzi! DO-36... gdy do służbowego pokoju wszedł młody porucznik. Machnąwszy ręką, burknął:

— Zgaście do diabła tę zabawkę! Słuchać się już nie chce! Ważniejszą dzisiaj rzecz mamy do zrobienia. Dwóch ochotników mi potrzeba. Z bronią oczywiście! Pójdziemy zobaczyć, jak się tam wiedzie naszym „pustelnikom“ na tym, granicznym wydmuchu. Zgłosili się ochoczo, przy czym jeden z nich zagadnął oficera:

— Panie poruczniku! — A, może trochę jedzenia i tytoniu dla nich zabrać?

— Dobra myśl, choć, jak słyszałem, Węgrzy ginąc im tam, nie dają — odparł wesóło. W chwilę później, z karabinami przerzuconymi przez plecy, rozplynęli się w zapadającym na garby karpaccie mroku.

Strażnica Nr I — stała przy szosie przeskakującej grzbiet górski, za którym inny był już kraj i inni mieszkali w nim ludzie. W strażnicy tej, pełnili służbę Polacy i Węgrzy. Było już dobrze ciemno, gdy wolno posuwająca się trójka zbrojnych ludzi, dobrnęła do szczytu i zatrzymała się przed czarną sylwetką, granicznego budynku.

— „Nem sabat, (Nie wolno, wzbronione!) — huknęło spod krzaka.



M. GRAMSKI

— Oho! — zaśmiał się oficer. — Dzisiaj nasze „bratanki“ służbę mają! Wiedząc, że z Węgrami w takich wypadkach żartów nie ma, skwapliwie odkrzyknął: — „Lendielek“! (Polacy!). Po chwili, wyłoniło się z czerni nocnej barczyste, wąsate chłopisko z najeżonym, austriackie czasy jeszcze pamiętający — manlicherem. Upewniwszy się kim są przybysze, przepuścił ich ku budynkowi strażnicy z którego dolatywały głośnie, polsko-węgierskie rozmowy. Z obłoków tytoniowych wartowni wyskoczył polski służbowy, meldując:

— Panie poruczniku! — melduję posłusznie — na granicy cisza!

— Z tą waszą „ciszą“, to nie bardzo — zauważył z humorem oficer. Nie głodniście tu? — Jedzenia w bród, panie poruczniku, z paleniem za to krucho.

— No, to sobie pokurzycie. Przynieśliśmy kilka paczek „przedniego“.

Do wartowni wszedł dowódca polskiej załogi, starszawy już nieco podchorąży.. Wesóło zaprosił: — Panie poruczniku! — „Czym chata polsko-madziarska rada — to i mówić nie wypada“. Prosimy na skromną, graniczną — wieczere!

Stół wyglądał zachęcająco. Na środku kosz winogron, okolony karafkami gorącego wina, zaprawionego cynamonem i goździkami. Na półmisku połów paprykowanej, węgierskiej słoniny, wreszcie pogięte menachy czarnej kawy i nasz, kochany, żołnierski — raziak! Rozmowy raz po raz przerywały szczerze okrzyki na cześć jednej lub drugiej narodowości.

Węgrzy lubią śpiewać. Właściwie wrzeszczą, grzmocą przy tym butami o podłogę. Polakom, oczywiście, do śpiewu nie bardzo się śpieszyło, ale te „bestie“, nieboszczyka ruszyć potrafią! Spod ławy wyciągnął wasacz skrzypce. Z miejsca — ucichło. Węgrzy bowiem, dla tego instrumentu, szczególnym odznaczają się kultem. Jeden z naszych, rzucił propozycję: — Zagraj nam tę waszą, sławną „Smutną niedzielę“. Nigdy tego, nie słyszeliśmy.

Węgrzy, coś poszeptali, w końcu jeden z nich zaczął tłumaczyć, jak umiał najlepiej: — że to pieśń bardzo smutna, nawet rozpaczliwa i może nie dobrze na nasze samopoczucie wpłynąć, szczególnie teraz, gdy na Polskę spadają bomby! — A, szkoda — dodał z uśmiechem — bo nasz Laszlo gra najlepiej z wszystkich skrzypków, od granicy do ... Budapesztu!

Porucznik rzucił spojrzeniem po twarzach chłopów i po namyśle, zapytał: — No, cóż, wytrzymacie nerwowo, czy nie?

Huknęli prawie razem jakby na to pytanie czekali: — A, co byśmy nie mieli wytrzymać, panie poruczniku! Armatami nas sąsiedzi przez wieki naparziali, to teraz tej muzyce nie poradzimy? — Niech podgrywa! Zaraz zobaczymy, czyja niedziela będzie smutniejsza!

Laszlo podstroił, chwilę czekał aż rozmowy ucichną, wreszcie załkał na strunach rzewnie, a chwilami, nawet — strasznie. Kiedy spłynęła ze smyka ostatnia iza, siedzący samotnie pod piecem żołnierz, takie o tym, co usłyszał, wypowiedział zdanie: — Ja, tam nie muzyk, gram tylko na grzebieniu, ale tak mi się widzi — że nasze nieboszczyki, trochę weselej „kite odwalali“, meldują posłusznie. I, oto, na ich „sto białych róż“, na „trumnę“ i na „martwe, ale wciąż kochające oczy“ — wstrząsnął ścianami strażnicy ... „podskakujący na desce — Maciek“!

Grajek uchwycił melodię, a jego ziomkowie, dopiero teraz dali upust, swojemu temperamentowi! A, potem, nastąpiły szczerze wprawdzie, ale z dzisiejszego oddalenia patrząc, jakże tragiczne w swojej naiwności zapewnienia — że oni do nas, a my do nich, na najbliższe Boże Narodzenie — zjedziemy. Poczcwi Synowie Puszt, nie przypuszczali, że za kilka dni, będą musieli polskich „bratanków“ rozbrajać a potem przez długie miesiące u siebie gościć.

Wychyliwszy ostatnią kroplę wina za menażki wartownika, porucznik zwrócił się do podchorążego: — Słyszałem, że macie tu pięknie urządzoną świetlicę.

— Nie tyle pięknie, panie poruczniku, co oryginalnie ... położona! — rzekł, znacząco się uśmiechając. — Bardzo prosimy! — Prowadząc oficera, ciągnął dalej: — Aby do niej się dostać, musimy przejść korytarzem na przeciwną stronę pasa granicznego.

Zdziwiony oficer zawołał: — Jak to? Polska świetlica, nie na swojej ziemi? — Hej! Wy tu ze mnie wariata nie „strugajcie“ kochane chłopaczki! Wyjaśnienie podchorążego, było jednak, zaskakujące:

— Tak sobie życzyli, nasi, węgierscy przyjaciele, panie poruczniku! Urządźcie swoją — powiedzieli — na naszej stronie, a my — to samo zrobimy z naszą, po przeciwniej. Śmiejąc się, mówili, że Batory, na pewno z tego będzie zadowolony. To, i zrobili-

my, panie poruczniku, a wrzasku przy tym było nie mało, bo radzili, gdzie co, powiesić należy.

Zdumienie przybyłych jeszcze bardziej wzrosło, gdy ujrzeli, samą świetlicę. Z głównej ściany, powitał ich, nie portret prof. Ignacego Mościckiego, ale ich — Regenta! Tu, fotograficzne zdjęcie naddunajskiego parlamentu, a tam, najeżona studziennymi źrózłowami, melancholijna — debreczyńska Puszcza. Wróciwszy przez sień do swojego kraju, oglądali z kolei izbę węgierską. Obok korony św. Stefana, sarmackie wąsy polskiego Włodarza i dla odmiany, widoczki z Tatr, Gdyni, Warszawy i innych okolic naszego kraju. Przy stole siedziało kilku Węgrów, pilnie zajętych pisaniem listów „zza“ ... granicy!

Zaskoczeni, a przede wszystkim głęboko wzruszeni, tak serdecznym sposobem „rozwiązania“ granicznego zagadnienia, wracali potem górską serpentyną do głównej, swojej kwatery kryjącej się w ciemnej jeszcze dolinie. Po drodze, rozważali w myślach: — Czemu zły los sprawił — że nie ma podobnych strażnic pomiędzy granitami Tatr i piachami bałtyckiego wybrzeża? — Dlaczego nie ma takich na poleskiej głuszy, albo nad Zbruczem i w ogóle na całym świecie? Nie potrzebowalibyśmy tedy, idąc tą drogą, patrzeć na krwawą lunę palącego się Drohobyca, ani też słuchać monotonnego stęku wracającego pod gwiazdami, z morderczej wyprawy — Dorniera!

Ze złością, kopnął porucznik w drzwi służbowego pokoju. Z radiowego pudła, przywitał go skrzek: ... koma pięć — przeszedł!

Marek Gramski

DELFINA

O wróżbach i zabobonach

CO jutro przyniesie? Pytanie odwieczne stawiane przez człowieka od czasu powstania kuli ziemskiej.

W czasach, gdy nasi pra-przodkowie żyli na brzegach dziewiczych lasów, w jaskiniach, nad dzikimi jeziorami, ich zaś jedynym zajęciem było polowanie, szukali u bożków przez siebie stworzonych, lub u gwiazd na niebie, odpowiedzi na to pytanie.

W czasach zamierzchłych, ludzie, którzy byli obdarzeni większą inteligencją, sprytem czy intuicją — stawali się doradcami swych współplemieńców i zawsze otoczeni czcigłównym posłuszeństwem mieli zasadniczy wpływ na życie swego plemienia. Tak powstały owe Sybille (tajemnicze wróżki antycznego Rzymu) Pytje (wieszczki greckie) i rozmaici wróżbici.

W strachu przed jutrem nie ma klasowych różnic. Toteż królowie jak i zwykli śmiertelnicy zasięgali od wieków rad wróżbitów. Dążąc do odgadnięcia przyszłości, starali się znaleźć jakieś znaki w otaczającym ich świecie, żyjąc zaś w ścisłym kontakcie z naturą, wszelkim jej niezwykłym zjawiskom przypisywali wpływ na swe losy.

Z obserwowaniem natury przyszła obserwacja nieba, a z nią pragnienie podporządkowania się niezmiennym a tajemniczym prawom wszechświata. Tak powstała astrologia, początkowo jako kult reli-

gijno-medytacyjny, by się z czasem przekształcić w naukę. Już w gruzach świątyń Niniwy i Babilonu znaleziono ołtarze, które były rodzajem obserwatorów nieba i zarazem miejscem kultu gwiazd.

W Azji astrologia rozwinęła się najbardziej. Przez Chaldee zaś i Indie rozszerzyła się na resztę starożytnego świata: Egipt, Grecję i Rzym.

W średniowiecznej Europie astrologia była skrupulatnie studiowana. W szesnastym wieku nazwiska Nostradama, Ruggieri, Morin de Villefranche'a były wszystkim dobrze znane. W dalszym dopiero etapie powstaje astronomia, której przedstawicielami będą: Kopernik, Kepler, Spinoza czy Galileo. Jednak przyjmując nowe idee, nie negowali bynajmniej starych.

Przeglądając niektóre stare wierzenia, przesady i przepisy zielarskie, można znaleźć wiele takich, które do dzisiejszego dnia się utrzymały. Trudno zapomnieć, że na Wileńszczyźnie jeszcze przed wojną byli szeptuni, których wzywano w razie wielkich krwotoków czy innych chorób, a którzy rzeczywiście umieli zamawiać niektóre choroby lub wstrzymywać na szereg godzin niebezpieczne krwotoki. Na tej samej Wileńszczyźnie, jeszcze przed ostatnią wojną wieszano na okapie żabę, z której sphywała posoka, mająca ponoć uniwersalne zastosowanie lecznicze.

W XIII wieku żył w Kolonii dominikanin wielkiej nauki: Magister Albertus. Wykładał wiedzę ogólną oraz filozofię. W latach 1245—1248 osiągnął tak wielką popularność, że będąc w Paryżu musiał wykładać pod gołym niebem, bowiem ilość słuchaczy nie mieściła się w żadnym budynku. Był również nauczycielem św. Tomasza z Akwinu. Mimo odznaczeń i specjalnych wyróżnień ówczesnego Papieża Alexandra IV, magister Albertus do końca swego życia pracował w skromnych warunkach nad zagadnieniami naukowymi. Pozostawił 20 tomów rozpraw, oraz niezmiernie ciekawe wynalazki szczególnie z dziedziny chemii. Lecz będąc poważnym naukowcem, był równocześnie, jak wszyscy w jego epoce przesądny i wierzył w najdziwniejsze gusa. Setki przepisów magicznych, które wymyślił w ciągu długiego życia przetrwały do dziś dnia. Niektóre z nich podajemy poniżej, gdyż przedostały się do wierzeń „ludowych“ w wielu krajach.

MAGIA ZIÓŁ

HELIOTROP — zawinięty w liść laurowy z zębem wilka, broni przed potwarzą.

POKRZYWA — zmieszana ze złocieniem, chroni przed duchami.

JASKÓŁCZE ZIELE — połączone z sercem kreta, czyni człowieka niewidzialnym dla nieprzyjaciół.

ŚLIMAK — pomieszany z glistami (odwar) świetny środek na zbudzenie miłości.

LULEK — wymieszany z krwią młodego zająca, ściąga do jednego miejsca wszystkie zające z okolicy.

LILIA — zerwana pod znakiem Lwa (sierpień) wymieszana z sokiem liścia laurowego i pozostawiona przez jakiś czas w nawozie, rodzi robaki, które wysuszone i zmielone, pozwalają się obchodzić bez snu.

JEMIOŁA — powieszona na drzewie ze skrzydłem jaskółki ściąga wszystkie kukułki z okolicy.

MIĘTA — z sokiem cyprysu jest świetnym dodatkiem... do każdej zupy.

JASKIER — (odwar) chroni przed chorobami żołądka i uspakaja porywcze i melancholijne charaktery.

BLEKOT — jest środkiem przeciwko chorobom wątroby i wrzodom żołądkowym.

PISTORION — rodzaj werweny, czyści oddech i wzmacnia miłość ukochanego czy ukochanej.

S N Y

Oniromancja (z greckiego oneiros — sen i manteia — wróżenie) wschodnia zajmuje się bardzo szczegółowo symboliką snów. Według tych wierzeń należy uważać na sny o wartościowych kamieniach, bowiem każdy kamień posiada symboliczne znaczenie i tak:

AMETYST — satysfakcja.

BURSZTYN — korzyść, pożytek.

BERYL — dobra przepowiednia dla spraw miłosnych.

CHALCEDON — korzyści materialne.

KORAL — niebezpieczeństwo na morzu.

DIAMENT — szczęśliwe załatwienie trudnych spraw zawodowych.

SZMARAGD — sukcesy intelektualne.

GRANAT — dobre załatwienie spraw bieżących.

LAPIS LAZULI — radość w przyjaźni lub miłości.

MALACHIT — to niebezpieczna wyprawa.

OPAL — zły omen.

RUBIN — nieprzemysłany krok.

SZAFIR — osiągnięcie czegoś o czym się dawno marzyło.

TOPAZ — to zwycięstwo.

TURKUS — mądre postępowanie.

Według wschodnich wierzeń księżyc wpływa na sny. Według tych wierzeń miesiąc księżycowy jest podzielony na cztery fazy.

N Ó W

1 dzień — sny na ogół przyjemne.

2 „ — korzystny dzień. Złe sny nie mające znaczenia.

3 „ — beзуyteczne sny. Nie należy na nie zwracać uwagi.

4 „ — tylko dobre sny sprawdzą się.

5 „ — niezbyt dobry dzień. Wątpliwej wartości sny.

6 „ — dobry dzień. Nie należy nikomu powtarzać snów poprzedniej nocy.

PIERWSZA KWADRA

7 „ — Sny na ogół sprawdzają się.

8 „ — Wszystkie sny o podróżach sprawdzają się.

9 „ — Sny prędko się sprawdzają.

10 „ — Dzień powinien być dobry, a sny pełne pychy.

11 „ — Nieważny dzień i nieważne sny.

12 „ — Dzień nie bardzo dobry, lecz sny sprawdzają się.

13 „ — Sny sprawdzą się szybko. (d.c. na str. 8)

BUNTOWNIK

Z GALERII DZIWAŃTWA LONDYŃSKICH

DOSTRZEŻEM go siedzącego na ławce pomiędzy dwiema starszymi paniami. Drzemał.

Był brudny i obdarty. Buty przewiązał sznurkiem przytrzymując odlatującą podeszew.

Dwie rzeczy zastanowiły mnie w nim. Pierwsze to, że nie miał przy sobie torby, oznaki każdego włóczęgi. A drugie — jego wspaniałe, jasne, falujące włosy opadające aż na ramiona. Marynarka postrzępiona, wysmolona, spodnie zeszyte niebieską nicią na kolanie, buty rozpadające się... A włosy jak spod grzebienia Henry'ego czy Albina, mistrzów fryzjerskich z West Endu.

Od pierwszego wejrzenia poczułem zawiść. Być wolnym, niezależnym i nic sobie nie robić z całego świata. I te włosy...

Patrzyłem od strony fontanny. Chrapał. Dwie starsze panie z lękiem spoglądały na siebie poprzez śpiącego. Widać niepokoiło je to sąsiedztwo, ale w południe Trafalgar Square jest tak zaludniony, że nie można wybierać miejsca na ławce.

Drugi raz spotkałem właściciela pięknych pukli w bibliotece na Acton.

Widać West End nie był jego stałym miejscem przebywania. Tam w czytelni aktońskiej, przy stole, który dzielił z trzema Murzynami z Nigerii albo Ghany, mój znajomy przeglądał gazety. Leniwie, wolno jak człowiek, który ma dużo czasu.

Ja musiałem na chybcika przewertować „Sunday Express“ z ostatniego miesiąca. On przewracał kartki jedna na godzinę. Trochę czytał, więcej patrzył w sufit.

Potem mijaliśmy się coraz częściej. Na Charing Cross przed sklepami z książkami, w bibliotece publicznej na Westminster, w Tate Gallery w sali rzeźby współczesnej...

Nad Tamizą.

Stał oparty o kamienną balustradę. Zawsze ten sam spokojny, leniwy, brudny, nie zwracający uwagi na otaczający go świat.

Przystąpiłem. Tak jakby właśnie czas dojrzał do tego. Po tylu spotkaniach logicznie było podejść.

— Przepraszam — powiedziałem — pan mnie tak fascynuje. Kim pan jest?

Obrzucił mnie obojętnym spojrzeniem i odpowiedział grzecznie tonem człowieka wykształconego.

— Nie pierwszy raz to słyszę. Ale to takie banalne zajmować się kim innym zamiast sobą.

— Pan stałe myśli o sobie, kontempluje pan swoje własne zagadnienie?

Oparłem się przy nim o beton i patrzyłem na wezbraną rzekę pełną kawałków drzewa.

— Staram się w ogóle nie myśleć.

— To nie przychodzi bardzo łatwo.

— Ma pan rację, ale pomału do tego dochodzę.

— Gdzie pan mieszka?

Roześmiał się.

— Praktyczność i rozsądek. Gdzie pan mieszka?

Co pan jada? Jakie jest pana zdanie o bombie wodorowej? Żygać się chce od praktycznych pytań, I zaraz pan proponuje obiad u Lyonsa.

Miałem szczerzy zamiar to zrobić i pobrzękiwałem srebrem w kieszeni, ale usłyszawszy jego ironiczne słowa wypuściłem pół korony, jakby była rozpalona do czerwoności.

— No — powiedział — idziemy do Lyonsa czy nie?

Poszliśmy. Ostatecznie musiałem jakoś opłacić swoją ciekawość.

— Mieszkam przeważnie w Armii Zbawienia — odpowiedział mi swoje życie jak wyczoną lekcję — jadam jak się zdarzy, ubieram się nie lubię i raczej unikam głupich rozmów.

— Dziękuję — odpowiedziałem. — Nie jest pan ciekaw, czym mnie pan zainteresował? Bo przyzna pan, że włóczęgów w Londynie niemało i można wybierać.

Potrząsnął anielskimi lokami.

— Nie tylko to — powiedziałem — najwięcej cenię pana za to, że nie posiada pan żadnego worka ani walizki, ani torby wojskowej przez ramię, ani nawet pakunku w gazecie.

Ucieszył się jakimś mu przyznał order.

— To pana wzięło? Przecież to jest zasada mego życia. Nic, co by obciążało sumienie, nic co by przeszkadzało w marszu.

— No — zawahałem się, aby go nie urazić — kilka jakichś drobiazgowych przydałoby się. Mydełko, szczoteczka do zębów.

— Precz ze szczoteczka do zębów — krzyknął zapalczywie. — Albo jest się wolnym, albo nie.

— Co pan robi?

— Protestuję — odpowiedział poważnie.

I pomału, pomału wyciągnąłem z niego całą historię.

— Byłem agentem ubezpieczeń — przyznał się — z pewnym powodzeniem. Zarabiałem ponad tysiąc rocznie, co stawało mnie w szeregu lepszych gości. Jeździłem z miasta do miasta z elegancką walizką i z teczką. Po hotelach dla komiwojażerów znali mnie dobrze i szanowali za stateczność. Naturalnie z takim zawodem trudno mi było się ożenić, chociaż miałem narzeczoną, z którą obiecyaliśmy sobie od kilku lat, że już niedługo się pobierzemy. Mieszkaliśmy we fłacie umeblowanym, u solidnej wdowy po urzędniku ubezpieczeń. Jednym słowem wszystko składało się znakomicie. Za dobrze. Westchnął i popatrzył na mnie z cierpieniem w oczach.

— Gdybym zaczął panu teraz wylizywać wszystkie sposoby, jakimi przemawiałem do klientów, gdybym tylko spróbował swej metody, jestem pewien, że pobiegłby pan do najbliższego biura, aby się ubezpieczyć. Umiałem, jak ja to umiałem.

Jeszcze raz westchnął z odrobiną podziwu dla siebie z tamtych dawnych czasów.

— Uważałem nawet, że jestem w porządku. Ułożone życie, ułożone zdania: pewność i zaufanie, polisa chroni ciebie i twoją rodzinę, ubezpiecz się i zapewnisz uśmiech twoim dzieciom. I tak dalej, drogi panie. Aż raz...

— Spotkał pan innego agenta ubezpieczeniowego.

— Skąd pan wie ?

— Życie — odpowiedziałem — życie samo nas uczy.

Zwiesił głowę zawiedziony, że mu się nie udało zaskoczyć mnie i zadziwić. Ale po chwili roześmiał się wesoło.

— Idiota — krzyknął.

— Kto ?

— Ja. Przecież to właśnie jest przyczyna wszystkiego.

— Co ?

— OMO — bielej niż biel. Gibbs chroni zęby noworodków. Piwo Lager i jeszcze coś tam. Stary jak świat kawał z agentem ubezpieczeń. To jest właśnie wszystko przeciw czemu protestuję. Rozumie pan,

protestuję. Chcę być głodny, brudny, bezdomny, niegrzeczny, złośliwy, nudny, głupi, leniwy, antyspołeczny, antypaństwowy. Chcę protestować.

Wyciągnąłem ku niemu rękę w dowód uznania.

Byliśmy szczęśliwi, że spotkaliśmy się. On z człowiekiem, który go rozumie. Ja — że spotkałem kogoś, kogo potrafię pokochać za ucieleśnienie moich marzeń.

— Jeszcze jedno — spytałem na zakończenie, patrząc na jego cudną fryzurę. — Rozumiem abnegację, swobodę, zerwanie z przesądami i wszelkim materializmem, ale to...

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem pukla złocistych włosów.

— Jakie znaczenie ma ta piękna fryzura, tak pieczołowicie pielęgnowana ?

— Ach, to — roześmiał się. — To też protest.

I sięgnąwszy ręką w górę zdjął z głowy wspinałką perukę.

— To protest przeciw łysinie — powiedział odśladając czaszkę gołą jak kolano.

Opinie o miłości myślicieli i znawców przedmiotu

Zebrał STEFAN LEGEŻYŃSKI

Nieśmiały kochanek nie będzie nigdy szczęśliwy. Miłość wymaga odwagi.

Kochaj cały świat, przecież to ty jesteś światem.

Kochać kogoś nad życie to właściwie kochać szaleńczo siebie. Małżeństwo to przykład na prozie miłości.

Kochaj umiarkowanie, bo wybuchy niosą śmierć dla miłości.

Nie istnieje bardziej wyęteżająca praca jak miłość. Im bardziej ona kocha jego tym bardziej stara się wyzbycić swych wad, im bardziej on ją — tym chętniej pracuje.

W polityce jak i w miłości traktaty-umowy łatwo stają się świstkiem papieru.

Nie istnieją przeszkody dla prawdziwej miłości. W miłości życie i śmierć stają się jednością.

Ludzie są pełni wad, mężczyźni są hipokrytami, kobiety są perfidne itp., ale stają się oni wyzbyci wszystkich wad, gdy połączą się w jedno miłością.

Tylko szalenie sprzeczają się z kobietą. Raczej niech wadzi się z wiatrem, płomieniem lub kaskadą wody.

Miłości i wina należy używać w miarę. Gdy za dużo powodują upadek sił. Twarz i głos ukochanego to najpiękniejsze rzeczy na świecie. Serce zakochanego bije w piersiach zakochanej w nim osoby.

Dusza zakochanego mieszka jednocześnie w dwu ciałach. Chcesz być kochanym? Sam kochaj! Kocha się od pierwszego spotkania, od pierwszego rzutu oka.

Komedia, która kończy się małżeństwem to tragedia, która się dopiero zaczyna.

Jaka kobieta jest stuprocentowa? Która kocha i jest kochana. Gdy opuszcza cię: niewierna, gdy powraca do ciebie: wierna.

Miłość jest ślepa, ale małżeństwo daje okulary. Sprzeczka zakochanych to odmowa miłości.

Dlaczego jesteś taki smutny? Bo kochasz mnie za mało! Kochajcie! Najważniejsza jest miłość!

Znamieniem prawdziwej miłości jest gdy, po ucieczce, do ciebie jednak wróciła.

Życie to sen, miłość to marzenie senne.

Nic już nie znaczą dla ciebie, widocznie przestałaś mnie kochać. Gdyś mnie kochała płakałaś, teraz kiedy się śmiejesz wiem, że mnie nienawidzisz.

Dla kobiety miłość to powieść, której ona jest bohaterką. Dla mężczyzny to powieść, którą on napisał.

Z miłości dla róży ogrodnik naraża się na jej liczne ukłucia.

Nie bądź smutny gdy kochasz, ani nie kochaj gdyś smutny. Kochaj, aby ocalić świat od zagłady.

Nie wiadomo dlaczego kochasz, i nie wiadomo czemu nienawidzisz.

Miłość. Nieśmiertelny rzeźbiarz, który rzeźbi zawsze tę samą postać.

Wszystko jest drugorzędne wobec śmierci ukochanego. Z miłością jest jak z solą. Nie przesolić!

Zakłęcia zakochanych nie dochodzą uszu bogów Olimpu.

Miłość to coś na podobieństwo służby wojskowej.

Gdyby Beatricze została kochanką twórcy „Boskiej Komedii“ nie mielibyśmy najprawdopodobniej tego dzieła.

Zakochany jest krewnym słońca. Zakochani są podobni do zahipnotyzowanych, żyją z zamkniętymi oczyma. Jest pewien specjalny rodzaj miłości, nazywa się zazdrością.

Wolno być zakochanym wariacko, ale nie wolno kochać głupio.

Nie łatwa jest miłość, ale to ona ... łączy niebo i ziemię od początku świata. Kochać to przejść samego siebie.

ROMANS ZEGARA

OPOWIADANIE WAKACYJNE

BYŁ bardzo brzydki, gruby, pękaty, bez żadnej pretensji do artystycznych kształtów. Trochę zachrypłym głosem wrzeszczał posłusznie, gdy go nakręcono wieczorem, ranną godzinę, oznaczoną przez czarną igielkę wskazówki.

Biedny prostak, tzw. pospolicie „budzik“ z ubogiej, gwarnej paryskiej ulicy, nie miał nic z majestatu wielkich zegarów, ani z kokieterijnego wdzięku maleńkiego zegarka „pendulette“, który ukryty w zabawnym skórzanym domku pokazywał zamiast wahadła, małątki, czerwony jeżyczek. Budzik nie czuł się ani ciężkim, ani niezgrabnym w sklepiku ubożego zegarmistrza na rue Mouffetard. Okno, w którym stał, wychodziło na targ, gdzie na wózkach rezolutnych i rozkrzyczanych przekupek, czerwieniły się pomidory, lśniły aksamitnym fioletem oberżyny, zieleniły cudnie wszelkiego rodzaju sałaty, złociły jabłka i pomarańcze. Wśród niesłychanego przepychu kolorów i równie niesłychanej wrzawy, wykwitwały tu i ówdzie pąki kwiatów, delikatne, wykwiłtne. Potem od 12 do 4 po poł. cisza. Ulica zamierała, aby ku wieczorowi obudzić się znowu w zgiełku i hałasie.

Otóż budzik czuł się tam wcale nieźle, gdy pewnego słotnego popołudnia młoda i niezamożna literatka, wybierając się w podróż, zauważyła, że jednak sen ma swoje prawa i że niepodobna jest obudzić się o 7-mej rano, gdy się kładzie spać o 4-tej rano. Czas naglił, robota była pilna, więc z bólem serca zdecydowała się na nadprogramowy wydatek.

— Kupię budzik. Ten brzydki, gruby budzik, co stoi w oknie u zegarmistrza na rue Mouffetard. Musi być zresztą niedrogi.

Po krótkim targu zegarmistrz „opuścił“ dwa franki, owinął budzik w starą gazetę i wręczył go nabywczyni, obiecując zabrać z powrotem, gdy będzie niepotrzebny, za pół ceny. Mruczając głośno swoje tik-tak, budzik drżał trochę ze strachu, przynajmniej tak się zdawało młodej literatce. Ale literaci, a tym bardziej literatki miewają swoje złudzenia. A może drżały naprawdę zmęczone palce kobiety?

Umieszczony na niewielkim, okrągłym, staroświeckim stoliczku, odkrytym starą, cenną koronką, budzik teraz dopiero zdał sobie sprawę ze swojej brzydoty. Stanowczo nie było tu dla niego miejsca w tym ładnym, zacisznym pokoju, ciepłym i pełnym kwiatów, mimo późnej i chłodnej wiosny. Prawie wszystkie przedmioty, znajdujące się w nim, miały jakąś cechę oryginalną, lub artystyczną, on jeden odbijał dziwnie od otoczenia. Musiała to zauważyć i jego właścicielka, bo, obrzuciwszy go krytycznym spojrzeniem, odezwała się do przybyłej w odwiedziny przyjaciółki:

— Jak tylko skończę tę robotę, zaraz go oddam zegarmistrzowi za pół ceny.

Przyjaciółka była innego zdania:

— Kilka franków, czy kilkanaście, niewielka rzecz, a taki budzik zawsze się przyda w domu.

— Może i masz rację — odpowiedziała literatka i zaczęła mówić o czym innym.

I budzik został.

Co rano budził zmęczoną i zasnęłą pracownicę, krzycząc, ile mu sił starczyło. Wieczorami i nocami swoim głośnym tik-tak starał się dodawać jej otuchy i mówić, że nie sama tylko czuwa. Czasami zaś, gdy znużona głowa pochylała się w krótkim śnie nad zwojem białych kart, budzik zdawał się przycichać i zatrzymywać dech w swej metalowej piersi, aby nie budzić śpiącej kobiety. Parę razy, zdjęty litością, nie chciał oznajmiać godziny, ale męczony ciągłym nakręcaniem, musiał się poddać i spełniać swój niemiły obowiązek. I tak mijaly miesiące.

Aż przyszedł czas wyjazdu na krótkie wakacje literatki. I budzik, acz niechętnie, zbudził swą panią o 6-tej rano. Trochę smutnie patrzył, jak troskliwie układano piękne lalki w szafie, a ślicznego pieska z duńskiej porcelany w specjalnym pudełku. Maleńka „pendulette“ wraz ze swoim skórzanym domkiem już była zapakowana starannie w podręcznej walizce. O niego tylko nikt się nie troszczył. Dopiero na kilka minut przed opuszczeniem pokoju młoda kobieta, porządkując drobiazgi na małym stoliczku, machinalnym ruchem, nakreśliła budzik, jak zwykle, poczem z uśmiechem potrząsnęła głową jakby chciała powiedzieć:

— Doprawdy, zapomniałam. Ale to nic nie szkodzi.

W pustym mieszkaniu o pozastalanych sprzętach budzik pozostał sam. Zrazu było mu trochę obco i nieswojo, potem pomyślał, że pozostawiono go na straży domu i żwawo powtarzał swoje wiekiste tik-tak, dodając sobie odwagi.

* * *

Wieczór był późny. Budzik szedł ciągle niezmorowanie, choć nie miał już komu wskazywać godziny, ani kogo budzić. Wtem w ciszy nocej usłyszał wyraźnie lekki, delikatny zgrzyt u drzwi przedpokoju. Ktoś próbował otworzyć drzwi dobranym kluczem. Zamek opierał się nieco, ale czuć było, że słabo. Budzik przypomniał sobie w jednej chwili wszystkie historie kradzieży i włamań, usłyszane w nędznym sklepiku zegarmistrza na rue Mouffetard. I żał mu się zrobiło młodej kobiety, która spokojnie zasypiała o tej porze gdzieś bardzo daleko. Zamek zazgrzytał mocniej, snać ustępował powoli. Wtedy budzik natężył wszystkie siły i zaczął dzwonić „na przebudzenie“. Dzwonił chrapliwie, a jednak przerażająco donośnie, w ciszy nocej, piszcząc, zawodził. Dzwonił, jak nigdy dotąd, z zaciekleścią i z jakąś dziką uciechą.

Zgrzyt w zamku ucichł momentalnie, za to sły-
chać było przez chwilę ciche, pośpieszne kroki na
schodach, niknące w oddali. W sąsiednim mieszkaniu
ktoś się obudził, wyjrzał na korytarz i na schody,
szurgając pantoflami, i mruknął w pół sennie:

— Ach, to ten nieznośny budzik!

Potem znowu zapanowała cisza nocna w całym
mieszkaniu. Tylko budzik, zadowolony i uspokojony
w swych obawach, powtarzał miarowe głośne tik-
tak. Miał jeszcze przed sobą kilka godzin swego
sztucznego życia.

WOJCIECH STEFAŃSKI

KAPELUSZ

MOŻE ze dwa tygodnie temu żona pewnego
wieczoru nieoczekiwanie zmierzyła mnie
chłodnym i pełnym wyrzutu spojrzeniem i powie-
działa:

— Spotkałam dziś Astrachańską.

Przeczuwając coś niedobrego, zacząłem wypyty-
wać z żywym zainteresowaniem:

— Cóż u nich słychać? Podobno Astrachański
miał jakieś kłopoty ze ślepą kiszka, ale mu przeszło.
O niej mówili, że jej lewa nerka trochę nawala, no,
ale cóż robić? Człowiek już nie jest taki młody.
Mam nadzieję, że już wszystko u nich w porządku.
Żona najzupełniej zignorowała moje zaintereso-
wanie stanem zdrowia rodziny Astrachańskich i z
naciskiem stwierdziła:

— Astrachańska miała nowy kapelusz.

Zrozumiałem, że stoję na straconej pozycji, ale
się nie poddawałem bez walki:

— Kapelusze nie są wcale modne w tym sezonie.
Sam widziałem fotografię księżniczki Małgorzaty
w chustce na głowie. Nikt w wielkim świecie nie
nosi kapeluszy. Astrachańska jest po prostu śmiesz-
nie staromodna.

Żona obdarzyła mnie znowu spojrzeniem ciężkim,
jak tona ołowiu, i dodała tonem rzeczowej informa-
cji:

— Astrachański kupił jej ten kapelusz z bonusu
biurowego.

— A widzisz! — wykrzyknąłem z triumfem —
Astrachański dostaje w biurze bonusu, to może sobie
pozwolić na takie wyrzucanie pieniędzy. Ja bonu-
sów nie dostaje, sama wiesz o tym.

Tu, udając, że sprawę uważam za zamkniętą, usi-
lowałem się zręcznie wyslizgnąć z pokoju, ale żona
zajmowała znakomitą pozycję strategiczną tuż przed
drzwiami i nie zamierzała ustąpić.

— Ja chyba nie jestem winna, że ty pracujesz
w takim biurze, gdzie nie dają bonusów — rzekła
z pogardą. — To już wyłącznie twoja sprawa. Gdy-
byś się umiał lepiej zakrzętnąć koło swojej kariery,
moglibyśmy sobie pozwolić nie tylko na kapelusz,
ale i na wiele innych rzeczy. Mama miała rację,
kiedy mówiła, że z ciebie życiowy niedorajda.

Powołanie się na opinię mamy stanowiło wyraźny
dowód, że żona rozpoczęła kampanię traktowała zu-
pełnie poważnie. Obliczywszy się szybko z siłami,
doszedłem do wniosku, że nie mogę sobie w tej chwili
pozwolić na przewlekły stan wojenny w domu.

— Teoretycznie mówiąc, ile to taki kapelusz może
kosztować? — zapytałem niedbale.

Oczy żony błysnęły niezdrowym blaskiem, jak oczy
myśliwego, który widzi, że upragniona zwierzyna
nie może mu się już wymknąć.

— Jakież trzy, cztery funty — odpowiedziała z
nonszalancją, jakby chodziło o sześciopensowy bilet
autobusowy.

— Kobieto! — krzyknąłem z rozpaczą. — Czy ty
wiesz, co to jest cztery funty? Czy ty sobie zda-
jesz sprawę, ile papierków trzeba w biurze prze-
wrócić, żeby zarobić cztery funty? Z równym po-
wodem mogłabyś żądać funta ciała, jak Szajlok!

Wiedząc, że zwyciężyła, żona pocałowała mnie w
policzek.

— W sobotę pójdziemy kupić ten kapelusz, dobrze?
— uśmiechnęła się.

Miała rację. W sobotę istotnie poszliśmy kupić
ten kapelusz.

Zabieg kupowania kapelusza przez kobietę jest
zbyt znaną formą zбочenia psychicznego, żeby ją
w szczegółach opisywać. Wystarczy powiedzieć, że
gdy po godzinie wyszliśmy ze sklepu, żona miała
w rękę torbę z nowym kapeluszem, a ja byłem uboż-
szy o cztery funty i sześć szylingów. Aby się nieco
podtrzymać na duchu, zaproponowałem zajście do
nieдалeko znajdującej się polskiej kawiarni. Żona
spojrzała na mnie z nieklamany zduśnieniem.

— Do kawiarni? Teraz? Przecież najpierw mu-
szę przymierzyć kapelusz.

W domu moja lepsza połowa zajęła stanowisko
naprzeciw lustra i zaczęło się przymierzanie. Co
kilka minut wzywany byłem w charakterze eksperta.

— Czy uważasz, że tak jest lepiej? A może bar-
dziej z czoła? A gdyby tak obrócić kokardą na
bok?

Lekkomyślny, jak wszyscy mężczyźni, obdarzałem
sowitymi pochwałami każdą metodę noszenia kape-
lusza w nadziei, że w ten sposób przymierzanie
szybciej się skończy i przejdziemy do następnego
punktu, to znaczy do obiadu. Moje pochwały spot-
kały się ze zjadliwym komentarzem:

— Tobie się wszystko podoba. Założę się, że A-
strachański ma więcej smaku estetycznego od cie-
bie.

Gdy po bardzo spóźnionym obiedzie wyszliśmy na
spacer, żona nosiła kapelusz tak silnie nasunięty na
oczy, że budziło to we mnie niepokój.

— Kochanie, podnieś go trochę wyżej, bo się wpa-
kujesz na słup od latarni — perswadowałem łagod-
nie.

— Zwariowałeś? Doskonale widzę — odpowie-
działa z oburzeniem i wpadła na najbliższego prze-
chodnia.

Wprawdzie twierdziła, że to czysty przypadek,
ale widać było, że ma pewne wątpliwości. Nic dziw-
nego, że przed kolacją nastąpiła następna sesja
przed lustrem, tym razem bez mojego udziału. Naj-

widoczniej jednak nie przyniosła spodziewanego rozwiązania, bo żona przy kolacji była milcząca i hojnie nasypała sobie soli do herbaty, czego normalnie nie robi.

Poszliśmy spać dosyć wcześnie. Zasnąłem szybko, ale po pewnym czasie obudziłem się gwałtownie. Żona w koszuli nocnej i kapeluszu na głowie stała przed lustrem w pełnym świetle lampy, mówiąc z triumfem:

— Mam! Tak pójdę do Ogniska!

Przeraziłem się.

— W koszuli do Ogniska? Co ludzie powiedzą?

Zdjęła kapelusz i wróciła do łóżka, mówiąc lekceważąco:

— Nie zwracaj głowy. Najlepiej śpij!

Następnego dnia poszliśmy do Ogniska, zgodnie z przewidzianym programem. Żona, naturalnie, w nowym kapeluszu. Weszliśmy na salę, witając znajomych. Żona płynęła przez salę promienna i młodszą o dziesięć lat. Nagle zbladła i kurczowo złapała mnie za ramię.

— Patrz! Tam! Przy oknie!

Spojrzałem i zrozumiałem. Przy oknie siedziała z mężem Trzypsztycka, wpatrzona rozszerzonymi ze zgrozy oczami w moją żonę, mając na głowie identycznie taki sam kapelusz!

Cóż mogę więcej dodać? Kapelusz leży na półce w szafie, nigdy nie używany. Na moje argumenty żona odpowiada niezmiennie:

— Dla twojej przyjemności nie myślę z siebie wariataki robić. Te cztery funty, które wydałeś na kapelusz, to nie wszystko. Są rzeczy ważniejsze od pieniędzy.

Jakbym o tym nie wiedział!

Wczoraj widzieliśmy na ulicy Trzypsztycką. Była bez kapelusza.

Wojciech Stefański

MIECZYŚLAW PASZKIEWICZ

OGRÓD

Z ciała spływa wrzawa martwa
rozmów kunszt złowróźbny
drobny grecki bożek — wiatr
z krzaków dojrzałe zrzuca płatki róży.

przedwieczór jak kryształ prysł
błękitem przeszyty nawskroś
cały wszechświat od Heliosu po Styks
skupia we mnie swą ciemność i światłość

milczenia mądre akordy
wszechruchu równowaga trudna
strop ze zwidzeń i modry
niesie jasna ciszy kolumna

troski w trumnę niepamięci złóż
liście liczysz? blaski ważysz?
pisanie wierszy? — cóż?
wybredny spoczynku towarzyszy.

(Dokończenie ze str. 3)

DRUGA KWADRA

- 14 „ — Bardzo szczęśliwy dzień. Snom nie należy ufać.
15 „ — Dobre sny, po nie bardzo miłym dniu.
16 „ — Dobre, sprawdzające się sny po dobrym dniu.
17 „ — Sny sprawdzą się w przeciągu trzech dni.
18 „ — Dzień pełen niepewności. Sny prawdziwe.
19 „ — Sny szybko się sprawdzą.
20 „ — Ciekawy dzień i sny niezwykle.

OSTATNIA KWADRA

- 21 „ — Dzień radości. Sny bez znaczenia.
22 „ — Złośliwy dzień. Sny prawdziwe.
23 „ — Dzień złego humoru. Nieprawdziwe sny.
24 „ — Obojętny dzień. Sny bez znaczenia.
25 „ — Złośliwy dzień. Sny bez znaczenia.
26 „ — Niemiły dzień. Dobre sny.
27 „ — Dzień pełen inicjatywy. Wątpliwe sny.
28 „ — Dzień bez znaczenia. Sny również bez znaczenia.

Ze snów przejdźmy do bardzo starych wierzeń i przesądów.

OSOBY PRZYNOSZĄCE SZCZĘŚCIE

Wariat spotkany przypadkowo, przynosi szczęście. To samo garbusek, ale wszystko pobije trójka złota z żołnierza, listonosza i białego konia. Należy wtedy szybko wypowiedzieć życzenie, a sprawdzi się natychmiast!

OSOBY, KTÓRE NIE PRZYNOSZĄ SZCZĘŚCIA

Złym znakiem jest spotkanie pastora, grabarza, oraz mężczyzny bez nogi.

ZWIERZĘTA I CO KTÓRE ZNACZY

Zwierzęta odgrywają wielką rolę w starych wierzeniach: szczęście przynosi orzeł w locie, pająk (w nocy), pliszka, przepiórka, srokaty koń, wiewiórka, łasica, jeź, mewy na szczycie masztu, paw rozpościerający ogon.

Natomiast nie jest wskazany widok pająka rano, nietoperza krzyczącego w locie, kukułki kukającej, psa wyjącego w nocy do księżycy, sokoła lub jaszczurki.

Osiół tarzający się po ziemi oznacza — dobrą pogodę.

Kot drapiący się za uchem — deszcz.

Ropucha — deszcz.

Pianie koguta w dniu ślubu — kłótnia w domu.

Kruk w locie (z lewej strony) — złe wiadomości.

Pająk snujący pajęczynę — ktoś spiskuje.

Delfina